

No. 3.
Sierpień/Wrzesień 2012 (3)
Cena 15 zł (w tym 8% VAT)
INDEX: 283304
ISSN: 2084-7548

(SLOW)

Szkoda czasu na pośpiech
Magazyn ludzi świadomych

Czas dla mas
Marek Siudym
Umowy śmieciowe
Domy w stylu japońskim
Sok pajneplowy

ISSN 2084-7548



PODOBNO
DO TRZECH RAZY SZTUKA.
NIE PRZEKONALIŚMY WAS
DO ŻYCIA W RYTMIE SŁOW?
PRÓBUJEMY JESZCZE RAZ.
JEŚLI SIĘ NIE UDA..., TO NIC...
WOLNO, SZYBKO, NIEWAŻNE...
WAŻNE, ABYŚCIE ŻYLI WŁASNYM
RYTMEM I PODEJMOWALI
WYŁĄCZNIE ŚWIADOME DECYZJE.

Koniec lata bywa przygnębiający. Urlopy się kończą, opalenizna błednie, a wakacje stają się wspomnieniem. Dlatego w trzecim numerze postanowiliśmy na chwilę zatrzymać czas i sprawić, by magia letnich podróży trwała nieco dłużej... przynajmniej do kolejnego numeru. W Japonii upewniliśmy się, że mniej znaczy więcej, w Egipcie, że nie taki piękny raj jak go malują. Wiemy, że porozumieć można się z każdym i w każdym języku, nawet jeżeli sok ananasowy czasem jest pajneplowy. Spróbowaliśmy życia w pięciu smakach i nielegalnej wolności na squatach. Wnioski? Podróż w stylu SLOW nie musi być długa i nudna. Bo „slow nie jest tempem naszego życia, slow to filozofia życia”. Nadal nie jesteście pewni? Może przekona Was Marek Siudym. Uzależniony od pośpiechu, a jednak czasu nigdy mu nie brakuje, na pracę, na pasję, na życie.

UWIERZCIE:
SZKODA CZASU NA POŚPIECH.

ZAPRASZAM DO LEKTURY (SLOW) No.3.

BARTOSZ KLONOWSKI
REDAKTOR NACZELNY

7
21
31
59
73
89
110
129
140
141

CONTENTS

DESIGN

JAPONSKIE LESS I MORE (8), PROJEKTANT EMOCJONALNEJ ENERGII (16)

APPÉTIT

CHIŃSKA FILOZOFIA JEDZENIA (22), SEZON NA KULINARNE SZALEŃSTWA (26), FEIJÃO COMARKOZ (28)

FASHION

W INDUSTRIALNEJ PRZESTRZENI (32), CHLEBA I IGRZYSK (42), RĘCZNA ROBOTA (46), BLUE MAGIC (50), STREETWEAR (56)

FREE:ZONE

PAULINA WYDRZŃSKA (60), MONIKA KOBUS (66), AKCJA: (SLOW) KUPUJE ZDJĘCIA II (70)

RE:VISION

CZAS DLA MAS (74), MAŁO CZYTELNE SPOŁECZEŃSTWO (78), ŚWIAT NA CYFROWYM DETOKSIE (82), UMOWY ŚMIECIOWE (86)

MOTION

SUPERSONIK (90), ZAPRASZAMY DO RAJU (96), SZEPT W TŁUMIE (100), 22 KILOMETRY I 44 MINUTY DO SLOW (104)

KULTURA

KULTURALNIE OBOWIĄZKOWE (110), MAREK SIUDYM (112), NIELEGALNA WOLNOŚĆ (120), SLOW POLECA (124), RODZINA W FILMIE (126)

PARENTS

SOK PAJNEPLOWY (130), POTENCJALNY GENIUSZ (134)

PRENUMERATA

KOLEKCJONUJ (SLOW) (140)

CERTYFIKAT®

WSPIERAMY I WYRÓŻNIAMY TYCH, KTÓRZY PRACUJĄ, ZARABIAJĄ, ŻYJĄ ŚWIADOMIE (141)

(SLOW)

Szkoda czasu na pośpiech
Magazyn ludzi świadomych

REDAKTOR NACZELNY I WYDAWCA: **BARTOSZ KLONOWSKI** (BKLONOWSKI@BESLOW.PL)

DYREKTOR ARTYSTYCZNY: **ANNA JASIŃSKA** (AJASINSKA@BESLOW.PL)

REDAKTOR PROWADZĄCA: **EDYTA ZŁOMANIEC** (EZLOMANIEC@BESLOW.PL)

SEKRETARZ REDAKCJI: **KATARZYNA ŻYSZKIEWICZ** (KZYSZKIEWICZ@BESLOW.PL)

KOREKTOR: **IZABELA ŚLIWIŃSKA** (ISLIWINSKA@BESLOW.PL)

FOTOEDYCJA: **ELWIRA BOCHENSKA** (EBOCHENSKA@BESLOW.PL)

MODA: **KAROLINA JACAK** (KJACAK@BESLOW.PL)

REKLAMA: **REKLAMA@BESLOW.PL**

PUBLIC RELATIONS: **PR@BESLOW.PL**

MARKETING I PROMOCJA: **MARKETING@BESLOW.PL**

eWYDANIE: **DIGITAL@BESLOW.PL**

DYSTRYBUCJA: **DYSTRYBUCJA@BESLOW.PL**

PRENUMERATA: **PRENUMERATA@BESLOW.PL**

PROJEKT MAKIETY I OKŁADKI: **ANNA JASIŃSKA**

ZDJĘCIE NA OKŁADCE: **PAULINA WYDRZYŃSKA**, MODELKA: **NATALIA WYDRZYŃSKA**

SKŁAD I ŁAMANIE: **eMOTION** (WWW.EMOTION.PL)

DRUK: **DRUKARNIA PERFEKT SA** (WWW.DRUKARNIAPERFEKT.PL)

AUTORZY I WSPÓŁPRACOWNICY:

ANDRZEJ CZAJKA, RAFAŁ HETMAN, PAWEŁ JÓZEFACKI, JOANNA KARCZMARCZYK, MAŁGORZATA KOVALEWSKA

BARBARA KRZEWSKA, IZABELA ŁASOCKA, JAKUB LEWKOWICZ, JAKUB LIPCZIK, JOANNA LOMPART-CHŁAŚCIAK, KRYSZTIAN LURKA, ULA MARKOF

JULITA MATUSIAK, KRZYSZTOF NOWAK, BARBARA SZACON, EWA TOWAREK, GRZEGORZ ZDUNIAK

GRAFICY, FOTOGRAFICY, ILUSTRATORZY:

AGNIESZKA BĄCZKOWSKA, JACEK BONECKI, SEBASTIAN DZIECHCIARZ, OKTAWIAN GÓRNIK, OLIWIA GROCHAL, RAFAŁ HETMAN, MONIKA KOBUS

PAWEŁ KUCZYŃSKI, ŁUKASZ MAJEWSKI, MAYA NIEŚCIER, PAWEŁ PASZEK-PIETRUCH, AGNIESZKA PIETRZYKOWSKA,

KRZYSZTOF ROGALSKI, ŁUKASZ SUCHORAB, BORYS SYNAK, MARCIN TWARDOWSKI, PAULINA WYDRZYŃSKA

NA OKŁADCE: **NATALIA WYDRZYŃSKA**

WYDAWNICTWO: **YOSO SP. Z O.O.**, UL. SARMACKA 9/7, 02-972 WARSZAWA

REDAKCJA: UL. KS. PRYM. A. HŁONDA 2A/99, 02-972 WARSZAWA, POLSKA, +48.22.885.98.98

ISSN: 2084-7548, INDEX: 283304

WWW.BESLOW.PL



WWW.FACEBOOK.COM/BESLOW

DZIĘKUJEMY WSZYSTKIM, KTÓRZY POMOGLI NAM W PRZYGOTOWANIU I WYDANIU DOTYCHCZASOWYCH NUMERÓW (SLOW).
REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO REDAGOWANIA NADESŁANYCH TEKSTÓW ORAZ REZYGNACJI Z PUBLIKACJI.

NIE ODPOWIADAMY ZA TREŚĆ ZAMIESZCZONYCH REKLAM.

(design)

Projekty, które się udały

**TOKIO JEST NAJWIĘKSZA
AGLOMERACJA NA ŚWIECIE.
MA POWIERZCHNIĘ
2185 KILOMETRÓW
KWADRATOWYCH.
MIESZKA TAM OKOŁO
12 MILIONÓW LUDZI.**

JAPOŃSKIE LESS IS MORE

EPOKA EKSPRESYJNYCH I EFEKCIARSKICH FORM W ARCHITEKTURZE POWOLI DOBIEGA KOŃCA. W DOBIE WSZECHOGARNIAJĄCEGO KONSUMPCJONIZMU CORAZ CZĘŚCIEJ DOCENIAMY PROSTE I PRZEMYŚLANE ROZWIĄZANIA, RÓWNIEŻ TE ESTETYCZNE. PODOBNIĘ DZIEJE SIĘ Z ARCHITEKTURĄ ŚWIATOWĄ, DLA KTÓREJ WYZNACZNIKIEM FUNKCJONALNOŚCI I STYLU ZACZYNA BYĆ NOWOCZESNY DESIGN Z DALEKIEGO WSCHODU.

TEKST: JAKUB LEWKOWICZ

Obecna tendencja w architekturze to powrót do estetycznej oazy spokoju, harmonii formy architektonicznej i perfekcyjnie zaplanowanej funkcjonalności, skoncentrowanej głównie na potrzebach użytkowników. Aktualnie z mody wychodzi powoli architektura dehumanizacyjna „fuck the context”, proponowana m.in. przez Zahę Hadid, a cytat „mowa jest srebrzem, a milczenie złotem” ma swoje zastosowanie w architekturze powściągliwej, w której znakomicie sprawdzają się japońscy „architekci formalnego spokoju”, np. Takeshi Hamada, Yutaka Yoshida, Keiji Ashizawa, Sanaa czy Yasuhiro Yamashita. Kulturę i architekturę japońską cechuje wyjątkowy szacunek do środowiska naturalnego. W przeciwieństwie do mieszkańców Europy Japończycy żyją w harmonii z naturą, dopełniają ją i uważają się za jej nieodłączną część. Wiąże się to po części z religią shintoistyczną, której kluczowym aspektem jest współistnienie z naturą – nie dominacja nad nią.

Skromność wyrazu formy, powściągliwość i asymetria są dominującymi cechami japońskiej architektury, zarówno tej tradycyjnej, jak i nowoczesnej. Odzwierciedla się to w projektach japońskich domów, których często powierzchnia użytkowa jest niewielka (co wynika najczęściej z wysokich cen gruntów w większych aglomeracjach miejskich i z konieczności skupienia ogromnej liczby osób na kilku metrach kwadratowych).

Na przykład Tokio, będące największą aglomeracją na świecie, ma powierzchnię około 2185 kilometrów kwadratowych, na której mieszka około 12 milionów ludzi. W efekcie na 1 kilometr kwadratowy miasta przypada około 18 tysięcy mieszkańców. Nie dziwi więc, że tokijczycy przyzwyczaili się do mieszkania na małej powierzchni, a architekci nowego pokolenia są zdeterminowani do tego, by przekształcać niewielkie przestrzenie w komfortowe i funkcjonalne domy czy mieszkania. ►



PROJEKTANT EMOCJONALNEJ ENERGII

PROJEKTUJE MEBLE, SCENOGRAFIE, PRODUKTY. TWORZY PRZESTRZENNE INSTALACJE. JEGO PRACE CHARAKTERYZUJĄ SIĘ PROSTOTĄ, SUBTELNOŚCIĄ I ELEGANCJĄ. URZEKAJĄ GO PIĘKNO NATURY ORAZ JEJ TWÓRCZA MOC, CZEMU DAJE WYRAZ W WIELU SWOICH PROJEKTACH. NIEUSTANNIE POSZUKUJE NOWYCH ROZWIĄZAŃ. W TYM ROKU TOKUJIN YOSHIOKA OTRZYMAŁ NAGRODĘ „NOW! DESIGN À VIVRE 2012 CREATOR OF THE YEAR” PRZYZNANĄ NAJBARDZIEJ ZNACZĄCYM PROJEKTANTOM PRZEZ ORGANIZATORÓW PARYSKICH TARGÓW MAISON & OBJET.

TEKST: JULITA MATUSIAK, ZDJĘCIA: WWW.TOKUJIN.COM

WENUS Z KRYSTAŁÓW

Yoshioka słynie z eksperymentów z nietypowymi materiałami. Często współpracuje z naukowcami, wykorzystując nowe technologie, dzięki czemu może realizować nawet najbardziej ekscentryczne pomysły. Efektem takiej współpracy jest „The Crystallized Project”, na który składają się obiekty zrobione z naturalnych kryształów.

Praca nad realizacją projektu trwała kilka lat i w końcu przyniosła oczekiwane rezultaty. Pierwsze kryształowe dzieło to zaprezentowane w 2007 roku krzesło Venus. Jego nazwa wywodzi się od imienia bogini zrodzonej z piany morskiej i nawiązuje do procesu powstawania kryształowego obiektu. Krystalizacja zachodzi w specjalnych akwariach wypełnionych zawieszoną rozpuszczonych minerałów. Towarzyszy jej muzyka wybrana przez artystę, a wibracje wytwarzane przez dźwięki decydują o kształcie wytrączanych z cieczy kryształów. Powstające w ten sposób struktury stopniowo obrastają umieszczony w akwariu stelaż. Po miesiącu krystaliczne dzieło jest gotowe i wylania się z akwariu w swej niezwyklej postaci.

Rola artysty sprowadza się tu do stworzenia warunków, w których powstaje dzieło. Jego ostateczny kształt wynika natomiast z procesów zachodzących zgodnie z prawami natury. Według Yoshioki ważną ideą, która powinna przyświecać projektantom przyszłości, jest wcielenie do twórczości praw natury, a jej celem nie może być tylko nadawanie rzeczom formy, lecz przede wszystkim wzbudzanie emocji i poruszanie ludzkich serc. „The Crystallized Project” ucieleśniający w pełni poglądy Yoshioki artysta traktuje jako swego rodzaju przesłanie. Właśnie za ten projekt Japończyk został uhonorowany tytułem twórcy roku 2012. Podczas paryskich targów odbyła się wystawa prezentująca kryształowe dzieła artysty. Oprócz różnego rodzaju krzeseł i foteli pokazano: kryształową różę, film wideo dokumentujący jej powstanie, dwuwymiarowe, pokryte kryształami obrazy oraz akwaria z powstającymi w nich obiektami.

WIDZIALNE – NIEWIDZIALNE

Yoshioka często mówi o fascynacji zjawiskami, takimi jak światło, dźwięk, wiatr. Mimo że nie mają one „dotykanej” formy, bardzo silnie oddziałują na zmysły i emocje, co ma dla niego ogromne znaczenie. Odzwierciedleniem fascynacji tym, co niematerialne są, często stosowane przez artystę, transparentne tworzywa. Japończyk już od 2002 roku eksperymentuje ze szklanymi materiałami. Pierwszy projekt szklanej serii można podziwiać na wzgórzach Roppongi w Tokio. Umieszczone tam krzesło o poetyckiej nazwie „Chair that disappears in the rain” wygląda tak, jak gdyby spływała po nim woda.

Kolejnym słynnym dziełem jest Water Block, czyli szklana ława, której faktura igra ze światłem podobnie jak poruszana wiatrem tafla wody. Kilka takich ław umieszczono na stałe w salach z obrazami impresjonistów w Muzeum d’Orsey w Paryżu. Rozwijając pomysł, Yoshioka zaprojektował na zamówienie prywatnej galerii z Tokio wielki (bo ponadczterometrowy) stół Waterfall. We wszystkich wymienionych projektach tworzywem jest szkło optyczne, a nieodzownym elementem współtworzącym efekt zamierzony przez artystę jest oczywiście światło.

Water Block stał się punktem wyjścia do stworzenia kolekcji przezroczystych mebli dla włoskiej marki Kartell. Krzesła, ławy i stoliki tym razem nie zostały wykonane ze szkła, a z delikatnego akrylu, co sprawia, że są niemalże niewidoczne. Kolekcję zaprezentowano w Kartell Gallery w Mediolanie w specjalnie zaprojektowanej na tę okazję instalacji Snowflakes. Meble rozmieszczono wśród płatków śniegu zrobionych z przezroczystych elementów. Wszystko odpowiednio oświetlone dało efekt pięknego zimowego krajobrazu.

Transparentne materiały Yoshioka wykorzystał także w wielu innych projektach, np. dla Issey Miyake zaprojektował zegarek „O”, co w języku francuskim oznacza wodę (eau wymawia się „O”).

感情的エネルギーの設計者

常に新しい解式を探している。

それで多くのプロジェクトにこれを発現している。

彼の作品は、シンプル、精緻で優美。自然の美しさと創造力は彼を惹く。

空間のインスタレーションを作成している。

彼は 家具、景色、製品を設計している。

CHIŃSKA FILOZOFIA JEDZENIA

XX WIEK WPROWADZIŁ NAS W KULINARNY SUPERMARKET KULTURY. NIEUSTANNIE DOWIADUJEMY SIĘ O NOWYCH TENDENCJACH ŻYWIENIOWYCH, KTÓRE BURZĄ NASZE, UGRUNTOWANE JUŻ, WYOBRAŻENIE NA TEMAT ODŻYWIANIA. MOŻE DLATEGO CORAZ CHĘTNIEJ SIĘGAMY DO SPRAWDZONYCH KULINARNYCH TRADYCJI. JEDNĄ Z NAJPOPULARNIEJSZYCH STAJE SIĘ OBECNIE CHIŃSKA KUCHNIA WEDŁUG PIĘCIU PRZEMIAN.

TEKST: MAŁGORZATA KOWALEWSKA, ILUSTRACJA: MAYA NIEŚCIER

W kulturze polskiej wiara we wpływ jedzenia na życie była ugruntowana od dawna. Już w średniowieczu jadano groch ze słoniną, które sprzyjając tyćiu, miały zapewnić szczęście i zdrowie. Uważano wówczas, że pulchna sylwetka jest oznaką wysokiego statusu, a smakoszostwo świadczy o towarzyskości.

Same składniki ówczesnej kuchni nie budziły w naszych przodkach jakiś konkretnych zastrzeżeń. Kontrowersje wzbudzać mogły jedynie dania obce. Żyjący w XVII wieku Jan Chryzostom Pasek, zaproszony na bankiet carski, na którym podano łabędzi kuper i kolano bielugi, skwitował: „[...] co to za moda zapraszać kogo na kolana i dupę, a jeszcze zem nie wiedział, co to jest ta biługa”. Ciężko więc było nas zadowolić daniami, które znacząco odbiegały od repertuaru polskich potraw. Dopiero w XIX wieku szlachta zaczęła się otwierać na cudzoziemskie kuchnie.

Dystans wobec zagranicznych potraw stale się kurczył, a nasze rodzime przepisy traciły swoją odrębność i wyrazistość, coraz mniej wyróżniając się na tle kuchni obcych. Nowe smaki i sposoby odżywiania zamiast, jak do tej pory, budzić lęk, zaczęły nas fascynować. Stąd też współcześnie możemy zaobserwować duży wzrost zainteresowania kuchnią azjatycką i wschodnimi teoriami żywienia.

Odżywianie jest sercem tradycyjnej medycyny chińskiej, która od tysiącleci nie ulegała zmianie. Jej źródła upatruje się w dążeniu do nieśmiertelności i filozofii taoistycznej, czerpiącej wiedzę z obserwacji przyrody.

Początki wspomnianej teorii żywienia nie są znane. Uważa się, że powstała jeszcze przed metodami zapisu, jakiś czas po odkryciu ognia. Pierwsze „publikacje” pochodzą z czasów dynastii Shang (17–11 wiek p.n.e.) i zostały utrwalone na skorupie żółwia.



SEZON NA KULINARNE SZALENSTWA

W meandrach kulinarnych poszukiwań kieruję się przede wszystkim naturalnością produktów. Naturalne to w mojej opinii ekologiczne, smaczne i zdrowe. Zaczytując się w artykułach dotyczących produkcji żywności, trafiłam także na odniesienia do zasad zrównoważonego rozwoju. Przyszło ołśnienie: sezonowość w kuchni to pojęcie kluczowe, łączy bowiem te wszystkie wymienione cechy. Ściśle wiąże się z dbałością o jakość przygotowywanych posiłków, dlatego świetnie wpisuje się ideę *slow food*.

JAKOŚĆ

Soczyste owoce, aromatyczne zioła, chrupiące warzywa – tego wszystkiego możemy doznawać w kuchni sezonowej. Prawdziwego smakosza nie da się oszukać soczystą czerwinią truskawki w środku zimy. Podobnie jest ze sztucznie wyhodowanymi pomidorami, które bardzo często przemierzają setki kilometrów, zanim dotrą na nasze talerze. Niepowtarzalność sezonowej truskawki, pomidora czy sałaty to efekt współdziałania człowieka z naturą. Raczej jej wspierania, a nie poprawiania na siłę. Wszystkie produkty, które dojrzewają w pełnym słońcu, nie mogą być naturalnie dostępne w środku zimy. Zastryk energii słonecznej nigdy bowiem nie będzie tym samym, co zastryk substancji chemicznej dodawanej do produktu.

ZDROWIE

Dietetycy wyspecjalizowani w kuchniach z długą tradycją zwracają uwagę na to, że organizm człowieka jest częścią innego, większego organizmu – natury. Ta zaś oferuje nam swoje plody w określonym czasie i miejscu. Bogactwo witamin i minerałów w sezonowych, świeżych produktach jest nie do podrobienia. Wiąże się to oczywiście nie tylko z ich ilością, lecz również z dużo większą przyswajalnością w porównaniu z tymi, które dostępne są w produktach przetworzonych. Walory naturalnego produktu to dużo więcej niż witaminy i mikroelementy. To także witalność, która zasila organizm człowieka i jest bezpośrednio związana z jego odpornością. Istotna jest również ilość chemii użytej w produkcji – im bliżej zera, tym bliżej ideału. Środki chemiczne zagarniają w produktach przestrzeń zarezerwowaną dla witalności, zatem sztucznie wyhodowany produkt, niezależnie od tego jak bardzo kaloryczny, pełen witamin i minerałów, zamiast zasilać organizm człowieka energią, zabiera mu ją.

To stanowisko łączące wszystkie naturalne diety. Niestety wiedza z nimi związana rzadko jest przedmiotem zainteresowania naukowców. Przekazywana z pokolenia na pokolenie, w wielu przypadkach intuicyjna, najczęściej jest bagatelizowana przez środowiska naukowe. Na szczęście powoli zaczyna się to zmieniać, ponieważ w odpowiedzi na zalewające świat epidemie chorób cywilizacyjnych powstają ośrodki stosujące leczenie dietami naturalnymi. Zatrudniają nie tylko dietetyków, lecz także personel medyczny. W takim miejscu każdy pacjent ma regularnie wykonywane badania krwi, moczu, ciśnienia tętniczego i inne. Dokumentacja pacjenta jest skarbnicą wiedzy o tym, jaki wpływ na organizm człowieka ma sposób odżywiania.

LOKALNOŚĆ

W ideę zrównoważonego rozwoju i ekologicznej produkcji wpisuje się wspieranie lokalnych producentów. Każda wydana złotówka to głos oddany na konkretnych producentów żywności. Korporacje, nawet te wspierające produkcję organiczną i sprawiedliwy handel, często nie są w stanie spełniać wszystkich wymogów ekologii, choćby ze względu na transport żywności. Ilość spalin, jako produkt uboczny transportu, oraz konieczność chemicznego zabezpieczenia żywności po to, żeby przetrwała przewóz, wpływają negatywnie na końcową ocenę dostarczonego produktu. Zakupy bezpośrednio u producentów lub u dostawców, których znamy, to zakupy od osób, którym ufamy. Wpływamy w ten sposób na jakość upraw i hodowli, wspieramy wspólną, inwestujemy w rozwój konkretnego regionu.

RÓŻNORODNOŚĆ

Śledząc zmiany w repertuarze smaków, barw i zapachów, jakie oferuje nam natura, nawet zimą nie powinniśmy czuć się znudzeni. W chłodne tygodnie możemy cieszyć się całym bogactwem warzyw korzeniowych i kapustnych. Dostępne są nie tylko marchew, ziemniaki czy buraki, lecz także na przykład rzepa, brukiew i topinambur (słonecznik bulwiasty). Kierowanie się w kuchni sezonowością to najczęściej przeniesienie zainteresowania na prawie zapomniane, rzadkie produkty. To odkrycie bogactwa ich zastosowania w sztuce kulinarnej. Przykładowo dostępne w chłodne dni sałaty, takie jak rozponka czy mniej popularna kłajtonia (szpinak kubański), mogą być spożywane zarówno na surowo, jak i podduszone czy ugotowane w kremowych zupach. Sezonowość w kuchni o żadnej porze roku nie musi więc skazywać na monotonię. Zawsze można też posiłkować się produktami kiszonymi, suszonymi i pasteryzowanymi. Przez większość roku wybór mamy ogromny i daleko wykraczający poza stałą ofertę supermarketów.

GDZIE ROBIĆ ZAKUPY?

Warto zacząć od najbliższego targu. Szukajmy przede wszystkim sprzedawców, którzy mają w ofercie certyfikowane produkty ekologiczne. Nie bójmy się pytać handlarzy o to, czy produkty, które sprzedają, pochodzą z ich własnych upraw i hodowli. Oglądajmy, próbujmy, jeżeli jest taka możliwość. Po jakimś czasie nawiążemy dobre relacje z kilkoma sprzedawcami, będziemy mieli ulubione stoiska i zakupy staną się prostsze.

Coraz więcej możliwości daje także internet. Lokalni producenci zrzeszają się i oferują zakupy online, często w formie ekopaczek z przewagą produktów sezonowych. Możemy sami komponować zawartość przesyłki. Wprawdzie nie będziemy mogli ich obejrzeć ani dotknąć, ale zazwyczaj nie ma problemu z ewentualną reklamacją. Jeżeli jednak zdecydujemy się na zakupy w supermarkecie, szukajmy produktów pochodzących z rodzimych upraw i hodowli, pamiętając o zasadach zrównoważonego rozwoju i mądrze pojmowanej ekologii. Sezon na kulinarne szaleństwa rozpoczął się i potrwa jeszcze kilka miesięcy. Dlatego tak organizuję sobie czas, żeby móc niespiesznie robić zakupy na targu. Nie muszę zamykać oczu, by przywoływać wspomnienia. Smaki zupy szczawiowej, jajeczniczy z kurkami i świeżej truskawki robią swoje. **(S)**

„SEZONOWOŚĆ W KUCHNI” – POMYŚLAŁAM. ZAMKNEŁAM OCZY I PRZYWOŁAŁAM WSPOMNIENIA. SMAK ŚWIEŻYCH TRUSKAWEK, UGOTOWANYCH SZPARAGÓW W SOSIE HOLENDERSKIM, SAŁATKI Z RUKOLI I DUSZONYCH KUREK POD BESZAMELEM. ZAPACH JAGÓD I GRZYBÓW. ZARAZ POTEM PRAWIE POCZUŁAM POD STOPAMI TRAWĘ, A NA TWARZY MUŚNIĘCIA WIATRU I CIEPŁO PROMIENI SŁONECZNYCH. OTWORZYŁAM OCZY I POMYŚLAŁAM: „TO TAKIE PROSTE: SEZONOWE ZNACZY BLISKO NATURY!”.

TEKST: BARBARA KRZEWSKA (WWW.JAWKUCHNI.PL), ZDJĘCIE: ANNA JASIŃSKA (NA PODSTAWIE WWW.FOTOLIA.PL)



FEIJÃO COM ARKOZ

HISTORIA KULINARIÓW POKAZUJE, JAK WIELE SPOŚRÓD NAJWSPANIALSZYCH POTRAW POWSTAJE W UBOGICH ŚRODOWISKACH – TAM, GDZIE DOSTĘP DO WYMYŚLNYCH SKŁADNIKÓW JEST MOCNO OGRANICZONY. SZTUKA ŁĄCZENIA DOSTĘPNYCH PRODUKTÓW W PRZEMYŚLANY SPOSÓB ORAZ UMIEJĘTNOŚĆ PRZYGOTOWYWANIA POTRAW Z WIELKĄ PIECZOŁOWITOŚCIĄ SPRAWIAJĄ, ŻE DANIA SĄ NIESAMOWITE. ŚWIETNYM PRZYKŁADEM JEST WCIĄŻ NIEDOCENIANA W POLSCE KUCHNIA BRAZYLIJSKA.

TEKST: ANDRZEJ CZAJKA, ZDJĘCIE: PAWEŁ PASZEK-PIETRUCH

Co się stanie, jeśli inspiracje kuchniami odległych krajów połączymy z pomysłowością kucharską? Weźmy za przykład Brazylię. Użyte w odpowiedni sposób miejscowe produkty brazylijskie, takie jak ryż, fasola, wołowina doskonałej jakości czy owoce – mango, papaja, acai, tworzą naprawdę niesamowite dania. Oto kulinarna podróż, która pomoże przybliżyć niektóre z nich.

FEIJOADA, CZYLI PRYZMAK NIEWOLNIKA

Bigos to danie, które każdy z nas poznał już we wczesnym dzieciństwie. Najlepszy bigos to niewątpliwie taki, w którym znaleźć można różne rodzaje mięsa, grzyby i inne dodatki. Jego ogromną zaletą jest to, że jest on potrawą jednogarnkową. Na podobny pomysł wpadli kucharze z innych państw, łącząc mięso i warzywa w tak fantastyczne dania, jak francuskie *cassoulet* czy węgierski gulasz. Nie inaczej było w Brazylii, gdzie z połączenia fasoli i mięsa powstała *feijoada*.

Początki tej potrawy sięgają czasów, kiedy w Brazylii rozwinęło się niewolnictwo. Czarni niewolnicy po ciężkiej pracy w gospodarstwie i na roli zmuszeni byli żywić się głównie czarną fasolą i ryżem. Jedynym mięsem, jakie otrzymywali, były resztki z pańskiego stołu, które łaskawie rzucił gospodarz, lub odpadki, które po obróbce mięsa wyrzucali kucharze. Aby przedłużyć ich przydatność do spożycia, niewolnicy zaczęli je konserwować przy użyciu soli, następnie suszyć na słońcu, tworząc coś, co do tej pory znane jest jako *beef jerky*. Dodawano namoczone wcześniej mięso do gotującej się fasoli, co sprawiało, że nabierała ona mięsnego aromatu, a całe danie stawało się treściwsze i pożywniejsze. Było to na tyle smaczne, że szybko opuściło niewolnicze chaty i zagościło na brazylijskich salonach. Nie obyło się rzecz jasna bez małych poprawek – usunięto najbardziej zylaste części mięsa i dodano krojoną w duże kawałki kielbasę *chourico* lub *linguiçę*.

SEKRET TKWI W DODATKACH

Bardzo istotnym składnikiem serwowanej *feijoady* są dodatki. Tradycyjnie podaje się ją z białym ryżem, który w Brazylii przygotowuje się z cebulą i czosnkiem. Nie może również zabraknąć zasmażki, która powstaje z mączki z manioku (przesmażonej na tłuszczu wytopionym z boczku, z drobno pokrojoną cebulą). Świetnym kontrastem dla tak dużej ilości

tłustych składników jest pomarańcza pokrojona w cienkie plastry. W niektórych regionach podawane są także podduszane liście kale lub kapusta włoska. Jeśli chodzi o napoje, to nic nie pasuje do *feijoady* tak dobrze, jak mocno schłodzone piwo lub tradycyjny brazylijski drink – *caipirinha*.

Feijoadę w Brazylii (podobnie jak polski bigos) jada się najczęściej przy okazji imprez rodzinnych czy spotkań towarzyskich. O tym, jak wygląda proces jej przygotowywania, śpiewa nawet brazylijski bard Chico Buarque w utworze „Feijoada completa”. Niepisana reguła głosi, że najlepszą i najświeższą *feijoadę* w Brazylii można zjeść w piątki. Tego dnia właściciele restauracji zlecają przygotowanie wielkiego gara tej potrawy, spodziewając się zmęczonych ciężkim tygodniem pracy obywateli, którzy masowo odwiedzają bary, żeby wychylić kufel zimnego piwa Skol lub Brahma i zjeść coś pożywnego. Czy może być coś lepszego od miski gorącej *feijoady*?

BARBECUE À LA PASTERZ

Gdy jest się brazylijskim ranczerem, jedną z rzeczy, na których brak nie można narzekać, jest mięso, a zwłaszcza wołowina. *Gaúchos*, pasterze z południowych regionów kraju, owiani są niesamowitą ilością legend, na tle których amerykańscy kowboje wypadają jak banda maminsynków. Poza niebywałą odwagą *gaúchos* zasłynęli świetnym sposobem grillowania mięsa, zwanym *churrasco*. Słowo to w wolnym tłumaczeniu znaczy to samo, co angielskie *barbecue*, ale na całym świecie kojarzone jest z ranczerami i ich spojrzeniem na grillowane mięsiwa. Dostarczane solą, pieprzem i czosnkiem, a następnie pieczone na szpadzie nad rozżarzonym węglem drzewnym duże kawałki mięsa nabierają wyjątkowego aromatu.

Brazylijczycy są wielkimi fanami mięsa, kwestią czasu było więc powstanie restauracji serwujących *churrasco*. Każda szanująca się „churrascaria” działa na zasadzie knajpy *rodízio*, czyli *all you can eat*. Po uiszczeniu określonej kwoty można wziąć udział w niekończącej się uczcie. A naprawdę jest co jeść. Zaczyna się od barów sałatkowych, gdzie znaleźć można sałatki warzywne z dużą ilością majonezu, a także brazylijski klasyk – sałatkę z serca palmowego i pomidorów. Jest również ryż z fasolą, czyli podstawa diety Brazylijczyków, na tyle popularna, że polskie wyrażenie „chleb powszedni” tłumaczy się jako *feijão com arkoz*, czyli właśnie duet fasoli i ryżu. Gdy pierwszy głód zostanie zaspokojony, kelnerzy (często w tradycyjnych strojach *gaúchos*!) zaczynają wносить pieczone. ►



female|male





CZEGO POTRZEBA, BY ZDOBYĆ OLIMPIJSKI MEDAL? TALENTU? DETERMINACJI? SZCZĘŚCIA? OCZYWIŚCIE. ALE RÓWNIEŻ ODPOWIEDNIEGO STROJU. GDY OD PODIUM DZIELĄ ULAMKI SEKUND CZY MILIMETRÓW, UBRANIE MUSI PRACOWAĆ NA ZAWODNIKA. OLIMPIJSKI SUKCES TO WYSILEK NIE TYLKO SPORTOWCÓW, LECZ RÓWNIEŻ ANONIMOWYCH CHIŃCZYKÓW, FILIPIŃCZYKÓW I LANKIJCZYKÓW, KTÓRZY SZYJĄ ICH STROJE.

TEKST: JOANNA LOMPART-CHŁAŚCIAK, ZDJĘCIA: OLIWIA GROCHAL

NIE SZATA ZDOBI CZŁOWIEKA, ALE...

O tym, jak ważny jest ubiór dla sportowych wyników, przekonali się pływacy na olimpiadzie w Pekinie w 2008 roku. Rewolucyjne kombinezony Speedo z opatentowanego materiału LZR najpierw testowane były w powietrznych tunelach NASA, a potem zrobiły olimpijską furorę. 98 procent medali w różnych dyscyplinach pływackich zdobyli sportowcy noszący ubrania LZR Racer Suit. Podniosła się wrzawa i oskarżenia o tzw. technologiczny doping. FINA, międzynarodowa federacja zarządzająca sportami wodnymi, nie mogła zdecydować, co z tym zrobić. Czy zabronić używania LZR? Czy tylko wprowadzić ograniczenia? Przepisy zostały zmienione w 2010 roku i choć materiał jest dopuszczony do użytku, to krój strojów jest już ściśle określony – nie ma dziś mowy o pełnych kombinezonach. Panom pozwolono jedynie na spodenki od pępka do kolan, a paniom na kostium od szyi do kolan z odkrytymi ramionami.

Pekińska olimpiada była również tematem innych tekstylnych kontrowersji. Tym razem wokół warunków, w jakich szyje się sportowe ubrania i obuwie. Głos w obronie praw pracowniczych zabrała międzynarodowa kampania Playfair. Jej argumenty i apele zdają się równie aktualne cztery lata później, w obliczu kolejnych letnich igrzysk.

ZŁOTA OLIMPIADA?

Olimpiada w Londynie miała być najbardziej przyjazna ludziom i planecie. Tak zapowiadał komitet organizacyjny. Powołano specjalną komisję nadzorującą przygotowania pod względem zrównoważonego rozwoju. Wymagania wobec firm przystępujących do olimpijskich przetargów zawierały zasady społecznej odpowiedzialności biznesu, równości i sprawiedliwego handlu. Kolory opakowań żywności i napojów, które sprzedawane były kibicom w czasie imprezy, pokrywały się z kolorami koszów na śmieci. Wszystko po to, by ułatwić recykling. Ponadto stroje brytyjskiej ekipy sportowej zaprojektowała Stella McCartney, uwielbiana przez vegetarian działaczka na rzecz praw zwierząt. Olimpiada na medal?

PLAYFAIR BIJE NA ALARM

Na kilka miesięcy przed rozpoczęciem igrzysk brytyjskie media zaburzyły sielski obrazek. Wszystko za sprawą kampanii Playfair 2012, czyli porozumienia 22 związków zawodowych i organizacji pozarządowych z Wysp Brytyjskich, koordynowanego przez Kongres Związków Zawodowych (TUC) oraz Labour Behind the Label. Kampania już dawno wskazywała na to, że producenci olimpijskich ubrań, butów i gadżetów nie przestrzegają zasad fair play. Dowody pojawiły się wraz z raportem „Fair Games? Human rights of workers in Olympic 2012 supplier factories”

z maja bieżącego roku. Jak wskazuje koordynatorka kampanii Playfair 2012, Sharon Sukhram: – *Nasze raporty: „Toying with Workers’ Rights” oraz „Fair Games?” ukazują, że robotnicy wytwarzający olimpijskie produkty i stroje sportowe na potrzeby Londynu 2012 otrzymywali głodowe wynagrodzenie za pracę w szkodliwych warunkach. Cieszymy się z tego, że organizatorzy Londynu 2012 wykonali krok we właściwym kierunku, wprowadzając do kontraktów z firmami zapisy o przestrzeganiu etycznych standardów.*

Przedstawiciele kampanii dotarli do osób zatrudnionych w dziesięciu fabrykach (w tym ośmiu produkujących ubrania olimpijskie) w Chinach, na Filipinach i na Sri Lance, produkujących między innymi dla marek: Adidas, Next, Nike i Speedo. Łącznie zebrano prawie dwieście wywiadów z pracownikami linii produkcyjnych, kadram kierowniczą, przedstawicielami związków zawodowych i stref ekonomicznych. Jakże są wnioski? Takie same jak przy poprzedniej letniej olimpiadzie: głodowe pensje, przymusowe nadgodziny, blokowanie związków zawodowych, obchodzenie prawa pracy i nieprzestrzeganie zasad BHP. Olimpiada zobowiązuje – produkcja musi nastąpić w rekordowym czasie. W praktyce oznacza to sto obowiązkowych nadgodzin w miesiącu, dwudziestoczworo godzinne zmiany, pracę siedem dni w tygodniu, testy ciążowe przy przyjmowaniu do pracy, zatrudnianie dzieci i stawki poniżej przepisowych pensji minimalnych. – *Wyzysku nigdy nie wolno uzasadniać. Sami nie chcielibyśmy być wyzyskiwani ani patrzeć, jak wykorzystuje się naszych bliskich. Sprowadza się to do traktowania innych z godnością oraz do możliwości pracy dla nas wszystkich i w odpowiednich warunkach. Większość zatrudnionych w olimpijskim łańcuchu dostaw to kobiety „uwięzione” na niskopłatnych i niewykwalifikowanych stanowiskach. Światowy kryzys ekonomiczny pogorszył jeszcze, i tak już trudną, sytuację robotników i ich rodzin – mówi Sukhram.*

SZWACZKI PRZERYWAJĄ MILCZENIE

Podobne sytuacje opisała w kwietniu gazeta „The Independent”, powołując się na własne dziennikarskie dochodzenie. W fabrykach produkujących dla marki Adidas w Indonezji (między innymi stroje dla brytyjskiej ekipy olimpijskiej) odkryto rażące przypadki łamania praw pracowniczych. Jak dodaje Sharon Sukhram: – *Większość globalnych firm z kontraktami na dostawę towarów i usług dla igrzysk olimpijskich notuje pokaźne zyski. Adidas na przykład zapłacił 100 milionów funtów za to, żeby być oficjalnym sponsorem strojów sportowych dla Londynu 2012, a CEO firmy zarobił w zeszłym roku około cztery miliony funtów.* ▶

CHLEBA I IGRZYSK



RECZNA ROBOTA

MARKOWE PRODUKTY TO NIEKONIECZNIE SZCZYT LUKSUSU I DOBREGO SMAKU. ZNANE NA ŚWIECIE IMIONA I NAZWISKA PROJEKTANTÓW WZBUDZAJĄ ZACHWYT PRZEDĘ WSZYSTKIM WĄSKIEGO GRONA WTajemniczonych. MOŻE ZAMIAST PŁACIĆ ZA METKI, CZASAMI LEPIEJ WYDAĆ PORÓWNYWALNĄ KWOTĘ NA JAKOŚĆ I GARDEROBĘ STWORZONĄ NA MIARĘ? TO JEST DOPIERO PRAWDZIWA MIARA SMAKU I CZWARTY WYMIAR ELEGANCJI.

TEKST: UŁA MARKOF, ZDJĘCIE: OKTAWIAN GÓRNIK



(SLOW)

blue magic

ZDJĘCIA
Marcin Twardowski

WSPÓŁPRACA
Katarzyna Konieczka
Barbara Olejniczak

MAKE UP
Patrycja Helminiak

MODELKI
Alex, Magda i Nastasha
ML STUDIO (www.mlstudio.com.pl)



OLYMPUS

Your Vision, Our Future



THE BEGINNING OF THE NEW

OM-D: CREATE YOUR OWN WORLD

Nowa era cyfrowych lustrzanek właśnie się rozpoczyna! Cyfrowe lustrzanki, jako następcy aparatów ze światłoczułym filmem, nie zmieniły się znacznie pod względem rozmiaru, wagi ani sposobu obsługi. Rewelacyjny, nowy bezlusterkowy aparat OM-D ma niezwykle lekki i kompaktowy korpus. Elektroniczny celownik pozwala fotografującemu na weryfikację temperatury barwowej, poziomu ekspozycji oraz zastosowanego filtra artystycznego w trakcie robienia zdjęć i kręcenia filmów. Rewolucyjna, 5-osiowa stabilizacja obrazu i uszczelniony korpus umożliwią użycie aparatu w każdych warunkach. Patrząc na zdjęcia zapisane w wyjątkowej jakości, powrócisz do emocji fotografowanych chwil. Podziel się swoimi wrażeniami z innymi.

OM-D
OLYMPUS OM-D

(free:zone)

Twórcza otchłań młodych zdolnych

STOP!

Zapraszamy artystów, grafików, fotografików
i wszystkich innych, którzy chcą nawiązać współpracę
z magazynem (SLOW) oraz zaprezentować
swoje prace w dziale (free:zone).

freezone@beSlow.pl

Szczegóły znaleźć można na stronie

www.beSlow.pl

PAULINA WYDRZYŃSKA

ROCZNIK: 1993

Fotografią zajmuje się od czterech lat, a wszystko zaczęło się od spontanicznej decyzji o zakupie pierwszego aparatu. Inspiracji szuka wszędzie — wśród przechodniów na ulicy, czy oglądając pokazy mody. Na większości zdjęć pozuje jej młodsza siostra Natalia. Dzięki temu widać, jak wspólnie się zmieniały. Paulina robiła coraz lepsze zdjęcia, Natalia dorastała. Mimo młodego wieku artystka ma na koncie publikacje w branżowych magazynach, wystawy i wygrane konkursy. Jej zdjęcie, obok prac stu innych artystów z całego świata, zaprezentowano na wystawie zorganizowanej przez włoskiego „Vogue’a”.

Na zdjęciach: Natalia Wydrzyńska





MONIKA KOBUS

ROCZNIK 1983

Tegoroczna absolwentka Studium ZPAF, z wykształcenia – filolog języka niemieckiego. Obraz sam w sobie fascynował ją od zawsze. Najpierw był rysunek, z czasem zamieniła blok i ołówek na aparat. Artystka ceni sobie portret konceptualny, kreatywny – w centrum jej fotograficznych fascynacji są osoby, które spotyka na co dzień. O swojej fotografii mówi, że jest poszukiwaniem prawdy o ludziach.

Po prawej autoportret artystki.





AKCJA: (SLOW) KUPUJE ZDJĘCIA II

W DRUGIEJ EDYCJI POSTANOWILIŚMY WYRÓŻNIĆ ZDJĘCIE PANA MARCINA NAGRABY. ZAPRASZAMY WSZYSTKICH DO UDZIAŁU W KOLEJNYCH EDYCJACH. O SZCZEGÓŁACH AKCJI PRZECZYTAĆ MOŻNA NA NASZYM FANPAGE'U: WWW.FACEBOOK.COM/BESLOW.

TWOJA WŁASNA TEORIA SZCZĘŚCIA

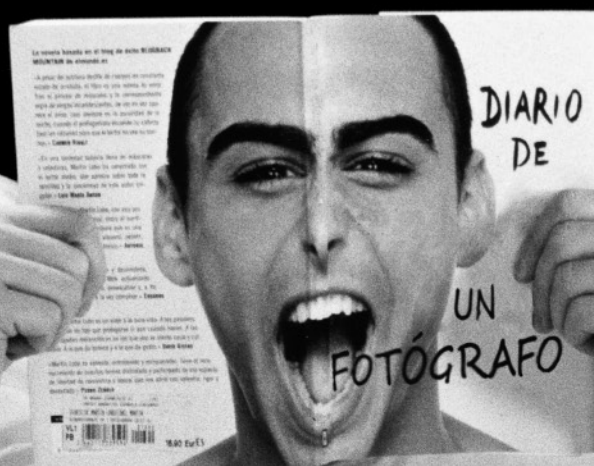


MARCIN NAGRABA

NA UWAGĘ ZASŁUGUJE WIELE INNYCH NADESŁANYCH ZDJĘĆ. BARDZO DZIĘKUJEMY WSZYSTKIM UCZESTNIKOM ZA UDZIAŁ W AKCJI I ZACHĘCAMY DO ŚLEDZENIA KOLEJNYCH JEJ ODSŁÓN.

1. JAKUB KRZYŻEK, 2. JUSTYNA ŁACH, 3. KAMA KAM, 4. ALICJA ONIŚKO, 5. KATARZYNA GABRIELA, 6. MONIKA ORYSZCZAK, 7. AGNIESZKA WANAT, 8. IWONA HARABIN, 9. DARIA GRAD-BERDAK, 10. MARCIN NAGRABA, 11. DARIA GRAD-BERDAK, 12. ANETA URBAN, 13. AGNIESZKA WANAT, 14. AGNIESZKA BŁĄŻOWSKA, 15. ANGELIKA KWIATKOWSKA, 16. HUBERT GRYGIELEWICZ, 17. ALICJA ONIŚKO, 18. MONIKA ORYSZCZAK, 19. MONIKA ORYSZCZAK, 20. PAWEŁ KOST, 21. IWONA HARABIN, 22. AGNIESZKA BŁĄŻOWSKA

Foto: Jan Lech



STUDIUM FOTOGRAFII ZPAF

zaoczne
i wieczorowe

dla początkujących
i zaawansowanych

dla kochających
fotografię

www.studiumfotografii.zpaf.pl

www.zpaf.waw.pl

pl. Zamkowy 8, Warszawa

ZPAF
OKRĘG WARSZAWSKI

(re:vision)

Wnikliwe spojrzenie na kontrowersyjne tematy



YORKI I PESUDODWORKI, DISCO POLO I ODKURZACZ OD AKWIZYTORA. PO UPADKU KOMUNIZMU POLACY ZACHLYSNĘLI SIĘ KAPITALIZMEM, MASOWO RZUCILI NA NIEDOSTĘPNE WCZEŚNIEJ TOWARY I BEZMYŚLNIE ZACZĘLI PODAŻAĆ ZA RÓŻNYMI MODAMI, TRENDAMI I TENDENCJAMI.

TEKST: RAFAŁ HETMAN, ILUSTRACJA: KRZYSZTOF ROGALSKI

Rzymianie mówili, że o gustach się nie dyskutuje. Starożytni chcieli przez to powiedzieć, że owszem, rozmawiać można, ale taka konwersacja od samego początku jest bezsensowna. Bo jak stwierdzić, że słuszność ma, dajmy na to, Lucjusz, który uważa kolor zielony za najładniejszy na świecie, a w tym samym momencie Gajusz, dla którego czerwień jest najpiękniejsza, się myli? Dla Publiusza Ligia jest kobietą najpowabniejszą, ale już dla Kwintusa uroda Ligii jest co najmniej pospolita i nie budzi zachwytu. I choć na temat urody można się spierać, siedząc na powalonym konarze drzewa gdzieś na przedmieściach Rzymu, to już w samej stolicy cesarstwa wykształconym panom takich tematów podejmować nie wypada, bo rozmowa nie doprowadzi do konstruktywnych wniosków, za to może jedynie skłócić dyskutantów.

MĄDRZEJSI OD RZYMIAN

Dlatego dziś, w XXI wieku, my, którzy od Rzymian nauczyliśmy się niemało, powinniśmy się raczej zastanowić, co sprawia, że człowiek, z założenia istota myśląca, podejmuje często decyzje, w których mózg nie bierze większego udziału. Co powoduje, że ogromne rzesze ludzi zupełnie sobie obcych mkną w jednym kierunku, żeby kupić tę samą płytę z muzyką, taką samą koszulkę, wycieczkę w tym samym kierunku? Jak to się dzieje, że naszą polską, nową świecką tradycją stało się grillowanie? Czemu grillują wszyscy – od dziadków po wnuków, od prezesów po szarych pracowników?

WIELE ODPOWIEDZI

Próbując odpowiedzieć sobie na takie pytania, znalazłem co najmniej kilka odpowiedzi (zwykle tak bywa, że jedna nie istnieje i choćbyśmy chcieli uzyskać jedno proste i konkretne wyjaśnienie, to musimy się zadowolić kilkoma). Pierwsza z nich – najprostsza, wręcz wstydliwie banalna – jest taka: ludzie chcą mieć to, co dobre. Dlatego Polacy kupują płyty dobrych wykonawców. Uściślijmy, dobrych ich zdaniem. Dlatego w 2011 roku najpopularniejszymi płytami okazały się krążki Adele – brytyjskiej wokalistki obsypanej sześcioma nagrodami Grammy, oraz zespołu Zakopower, który wylansował piosenkę, przez życzliwych nazywaną przebojem, pod tytułem „Boso”.

Czy takie produkcje są wartościowe, wnoszą coś nowego do współczesnej kultury i sztuki, czy są po prostu dobre? Nie jestem wybitnym znawcą muzyki, ale sądzę, że są to płyty całkiem udane i niektórych utworów zawartych na krążkach słucham z przyjemnością. Z pewnością znajdą się i tacy, którym podobny repertuar nie przypadnie do gustu.

Tak jak wielu do gustu nie przypadło disco polo, które w latach 90. XX wieku było muzyką idącą ramię w ramię z popem. Do dziś wszyscy znają jednak tekst piosenek: „Majteczki w kropeczki” czy „Jesteś szalona”. A wielu, choć się nie przyznaje, lubi sobie posłuchać starych przebojów takich zespołów, jak Boys, Bayer Full czy wokalistki Shazzy.

ŁATWOŚĆ, NIE JAKOŚĆ

Kolejną właściwością, dla której decydujemy się na kupno jakiegoś produktu, jest łatwość w odbiorze konkretnego dzieła. I tak okazuje się, że dzieło dobre, ale trudne w odbiorze przegrywa dzisiaj z tym słabszym, ale łatwiejszym w zrozumieniu.

Weźmy za przykład utwory Piotra Rubika, które przypominają muzykę klasyczną, choć w istocie nią nie są. Zwykły amator muzyki chętniej sięga właśnie po Rubika i jego skoczne melodie z klaskaniem niż po płyty z muzyką Leszka Możdżera czy Rafała Blechacza. Podobnie jest z książkami. Hitem ostatnich lat okazała się powieść „Dom nad rozlewiskiem” Małgorzaty Kalicińskiej. Książka pokazna, acz nietrudna w czytaniu. Powieść, która porusza tematy maglowane przez stulecia, która nie wnosi nic nowego ani ciekawego (to już rzecz mojego gustu) do światowej literatury. Mimo tego, Polacy rzucili się na półki z „Domem” i napisanymi później „Powrotami nad rozlewiskiem” oraz „Miłością nad rozlewiskiem”. Kupili ponad 600 tysięcy egzemplarzy. Takiego wyniku tak zwani ambitni autorzy mogą jedynie pozazdrościć. Dla porównania – tuż po otrzymaniu nagrody Nobla przez Wisławę Szymborską sprzedano zaledwie 115 tysięcy egzemplarzy jej tomików. Przykład serii znad rozlewiska pokazuje, że Polacy wolą zdecydowanie oglądać niż czytać. To pierwsze jest o wiele łatwiejsze. Wystarczy wpisać do wyszukiwarki Google tytuł książki Małgorzaty Kalicińskiej, a w wynikach wyszukiwania, zamiast linków odsyłających do internetowych księgarni, zobaczymy linki do artykułów na temat serialu TVP zrealizowanego na podstawie książki albo do samych fragmentów filmu. Tymczasem odnośniki do książki znajdują się na niższych pozycjach.

BO W TELEWIZORZE BYŁO

Ważnym elementem kształtującym mody są oczywiście media. Nie ma co wspominać tutaj o wpływie samych reklam na nasze życie, bo jest on powszechnie znany. Ale warto przyjrzeć się oddziaływaniom popularnych seriali. Chodzi mi tutaj o konkretny przypadek, kiedy na antenie TVN pojawił się serial „Teraz albo nigdy”.

MAŁO CZYTELNE SPOŁECZEŃSTWO

„NIE MAM CZASU” TO JEDNO Z NAJCZĘŚCIEJ SŁYSZANYCH DZIŚ ZDAŃ. MA ONO SVOJE KONSEKWENCJE RÓWNIEŻ DLA SŁOWA PISANEGO. POTWIERDZONY BADANIAM WZROST LICZBY ABSOLWENTÓW WYŻSZYCH UCZELNI IDZIE W PARZE Z JEDNOCZESNYM SPADKIEM CZYTELNICZKA I ROZUMIENIA OBSZERNYCH TEKSTÓW DRUKOWANYCH. CZY JEST JAKIS SPOSÓB NA CZYTELNICZĄ OBOJĘTNOŚĆ W DOBIE POWIERZCHOWEGO SURFOWANIA PO RÓŻNORODNYCH TREŚCIACH? SLOW READING PROONUJE CELEBROWANIE MINUT.

TEKST: KATARZYNA ŻYSKIEWICZ, ILUSTRACJA: AGNIESZKA PIETRZYKOWSKA

Zatłoczone rzymskie lotnisko. Ciągące się w nieskończoność minuty oczekiwania w kolejce do kontroli biletów. Nagle w wertowanej od niechcenia gazecie niezwykle odkrycie – jednominutowa bajka na dobranoc. Tak zaczyna się jedna z najważniejszych książek ruchu *slow* „Pochwała powolności”, która ugruntowała pozycję Carla Honore jako międzynarodowego rzecznika idei *slow*. Nie zgłębia ona wprawdzie problemu czytelnictwa, jednak jej początkowe strony doskonale oddają kierunek, w jakim nieświadomie i nieuchronnie zmierzamy.

W TELEGRAFICZNYM SKRÓCIE

Opowiadanie „Królowej Śniegu” czy „Kota w butach” w 60 sekund może się wydawać nierealne czy wręcz absurdalne. Z drugiej jednak strony, czy na samą myśl o takiej możliwości nie mamy ochoty, jak to zrobił Honore, krzyknąć „Eureka”? Takie baśniowe pigułki mogłyby się okazać doskonałym lekarstwem na nekającą współczesne społeczeństwo chorobę – chroniczny brak czasu, na czytanie także. W XXI wieku, w którym powiedzenie „czas to pieniądź” jest chyba jednym z najbardziej trafnych, każda droga na skróty wydaje się na wagę złota. Jest przecież tyle rzeczy do zrobienia, tyle informacji do przyswojenia, a doba ma tylko 24 godziny. I paradoksalnie absurdalne 60 sekund staje się bardzo powszechnym rozwiązaniem, często nawet nieświadomie przez nas stosowanym.

ZNAKI CZASU

Nie chodzi tu zupełnie o lenistwo czy ignorancję. Nasze umysły zwyczajnie dostosowują się do zastanej sytuacji. Zalewani ogromną ilością informacji, zaopatrzeni w technologie pozwalające na szybki dostęp do nich pragniemy dowiedzieć się jak najwięcej,

ale też jak najszybciej. Nasz świat nie stoi w miejscu i nie porusza się z jedną prędkością – on cały czas przyspiesza. Nowatorskie, mniejsze i bardziej wielofunkcyjne gadżety pozwalają nam na błyskawiczne zapoznanie się z najnowszymi informacjami, w których jakość staje się coraz mniej ważna, ustępując miejsca zwięzłości i szybkości, z jaką do nas trafiają. Przeskakujemy z jednego artykułu do drugiego, przeważnie bez większego skupienia na jego treści, w efekcie czego nasza percepcja staje się coraz bardziej powierzchowna, a wiedza, choć rozległa, niedokładna.

WYZWANIE: KSIĄŻKA

Czytanie tekstów wymagających skupienia staje się trudnym wyzwaniem, ponieważ – jak twierdzą eksperci – nasze internetowe przyzwyczajenia (czytanie haseł, odnośników, wybranych informacji, przekakiwanie z tematu na temat itp.) uszkadzają zdolności przetwarzania i przyswajania dłuższych treści. Twierdzenie to zawarł w swojej książce *The Shallows* „What the Internet Is Doing to Our Brains” („Co internet robi z naszym mózgiem”) Nicholas Carr, amerykański pisarz zajmujący się tematyką technologii, kultury i biznesu. Nagle więc 60 sekund przestaje być tak nonsensowne. Skoro większość z nas nie potrafi się skoncentrować na tyle, by ze zrozumieniem przeczytać cały artykuł, lektura książki staje się zadaniem niezwykle trudnym. Kilkusetstronicowe publikacje czy nawet bajki dla dzieci wydają się reliktem minionej epoki. I tak na dobrą sprawę właśnie w tym momencie powinnam zacząć się zastanawiać, jaki sens ma dalsze pisanie tego tekstu, skoro szanse na to, że ktoś poza redaktorem naczelnym dotrwa do jego końca, są znikome. Z nadzieją i wiarą w naszych czytelników brnę jednak dalej, nie zważając na przytłaczające dane statystyczne. ►

LITERACKO I PRASOWO NIEKONTAKTOWI

Od dobrych kilku lat na świecie można zaobserwować znaczny spadek liczby czytelników książek. Nasz kraj nie jest tu wyjątkiem. Z badań prowadzonych przez Bibliotekę Narodową wynika, że w Polsce z roku na rok zainteresowanie słowem pisanym jest coraz niższe, zwłaszcza wśród młodego pokolenia. Pierwszy poważny kryzys zaobserwowano w 2008 roku, kiedy 62 procent ankietowanych przyznało, że w ciągu ostatnich 12 miesięcy nie miało żadnego kontaktu z książką. I choć dwa lata później wynik teoretycznie był nieco lepszy (56 procent), to i tak nie ma specjalnych powodów do dumy. W tym badaniu ów „kontakt” oznaczał bowiem nie tyle samo przeczytanie książki, ile zajrzenie do słownika lub pobieżne przeglądanie albumu.

Czytelnictwo prasy wcale nie wygląda lepiej. Z ankiety za rok 2010 wynika, że gazet nie czyta nawet połowa Polaków. Spośród pytaných jedynie 24 procent regularnie sięga po prasę drukowaną, 41 procent robi to sporadycznie, a 35 procent w ogóle. Badania potwierdzają również, że dłuższe teksty stają się dla nas wyzwaniem. Tylko 53 procent przepytanych osób w ciągu dwóch miesięcy poprzedzających ankietę przeczytało tekst dłuższy niż trzy strony. Paradoksalnie załamanie popularności czytelnictwa nastąpiło wraz z rosnącym poziomem edukacji w kraju. Z początkiem XXI wieku, kiedy niemal wszyscy zdający maturę idą na studia, tylko połowa dwudziestolatków przyznaje się do przeczytania przynajmniej jednej książki rocznie. Najwyraźniej można być człowiekiem wykształconym i nieoczytanym zarazem.

RATUNEK CZY FARSA?

Wyniki wspomnianych badań wykazały istotny problem cywilizacyjny. Coraz częściej pojawiają się akcje społeczne propagujące czytelnictwo i wykorzystujące w tym celu najróżniejsze techniki i argumenty. Od najbardziej znanej cyklicznej kampanii „Cała Polska czyta dzieciom” po „Nie czytasz? Nie idę z Tobą do łóżka” z ubiegłego roku. Ta druga niewątpliwie zyskała sporą popularność dzięki seksualnym podtekstom.

Inny ciekawy chwyt zastosowali twórcy akcji „Czytaj! Zobacz więcej”, która w tegoroczny Światowy Dzień Książki miała swoją drugą odsłonę. W kampanijnym spocie celebryci i osobistości ze świata kultury wymieniają powody, dla których nie warto czytać – bo to uzależnia, bo książki gryzą, bo i tak je kiedyś zekranizują.

Jeśli chodzi o czytelnictwo prasy sytuacja wcale nie wygląda lepiej. Z badań z 2010 roku wynika, że nawet połowa Polaków nie czyta gazet. Spośród ankietowanych jedynie 24 procent regularnie sięga po prasę drukowaną, 41 procent robi to sporadycznie, a 35 procent – wcale. Badania potwierdzają również, że dłuższe teksty istotnie stają się dla nas wyzwaniem. Tylko 53 procent przepytanych osób, w ciągu dwóch miesięcy poprzedzających badanie, przeczytało tekst dłuższy niż trzy strony.

ORIENTUJ SIĘ!

Pierre Bayard, francuski pisarz i profesor literatury, twierdzi, że „człowiek wykształcony to nie ten, który przeczytał taką czy inną książkę, ale ten, który potrafi poruszać się pośród wszystkich publikacji, który wie, że tworzą one pewną całość, i jest w stanie określić miejsce każdego elementu”. Według Bayarda burzliwa dyskusja na temat książki, której nie czytaliśmy, jest jak najbardziej możliwa, zwłaszcza jeśli nasz rozmówca również z ową lekturą nie miał bliższego kontaktu. Bo „kultura to przede wszystkim kwestia orientacji”. W dobie powszechnego internetu i technologicznych dobrodziejstw w postaci iPhone’ów i tabletów orientujemy się coraz łatwiej i szybciej.

CZYTELNICZE ROZKOSZE

Na szczęście Beyard ze swymi poglądami pozostaje w mniejszości, a współczesny pęd informacyjny, o dziwo, generuje coraz więcej zwolenników powolnego czytania i kontemplowania przyswojonych treści. Obok *slow food* czy *slow life* rozwija się także *slow reading*. Sympatycy tego ruchu zachęcają, by wyłączyć komputery i czerpać radość z czytania papierowej wersji tekstów oraz z możliwości ich całościowego przyswajania.

I choć może to wyglądać jak namowa do porzucenia obowiązków i zapadnięcia się w fotelu z opasłym tomiszczem, to *slow reading* wcale nie musi wymagać od nas dużego nakładu czasu. Wiele osób nie zdaje sobie sprawy z tego, jak wiele okazji do lektury stwarza ich zabiegane życie. Wystarczy mieć przy sobie książkę czy ulubione czasopismo, a odpowiedni moment sam się nadarzy. Stojąc w kolejce, jadąc metrem do pracy czy pociągiem w dalszą podróż. Nawet jeśli nie zabierzemy ze sobą własnej lektury, to nie brakuje miejsc, gdzie można je zdobyć. Dziś w kioskach możemy nabyć nie tylko prasę, lecz także książki. Na wielu dworcach pojawiają się również książkomaty, w których za symboliczną kwotę można zakupić lekturę w sam raz na podróż. Warto korzystać ze wszystkich wolnych chwil.

W „Pochwale powolności” Honore’a przytacza słowa izraelskiego pisarza Amosa Oza, które najprościej oddają idee *slow reading*: „Każda przyjemność, jaką potrafię sobie wyobrazić, i każda, której doświadczyłem, staje się jeszcze rozkoszniejsza, kiedy dawkować ją sobie małymi łyżkami, jeśli podchodzić do niej powoli. Lektura nie jest wyjątkiem”. Pamiętajmy także, że to w dużej mierze od nas, czytelników, zależy przysiółość i tej małej, i tej wielkiej literatury, bo to właśnie istnienie czytelnika motywuje pisarzy do dalszego tworzenia. Czytajmy książki powoli i rzucajmy wyzwania ich autorom, pokażmy im, że są idee, które warto na nowo połączyć ze światem. (S)



Z MIEJSCA NA MIEJSCU

Wybierając EXPRESS INTERCITY, szybko znajdziesz się na miejscu. Nie ruszając się z miejsca, zarezerwujesz i kupisz bilet przez Internet. Pociągi EIC są zawsze na pierwszym miejscu pod względem szybkości, komfortu i punktualności. Dla najbardziej wymagających pasażerów wystarczy miejsca w przedziałach menedżerskich i Strefie VIP na Dworcu Centralnym. Po prostu, w EXPRESS INTERCITY wszystko jest na swoim miejscu.

www.intercity.pl



Sprawdź najlepsze, aktualne połączenie.

EIC
EXPRESS INTERCITY

ŚWIAT NA CYFROWYM DETOKSIE

WYOBRAŹMY SOBIE DZIEŃ BEZ DOSTĘPU DO E-MAILA I TELEWIZJI, BEZ MOŻLIWOŚCI ZAJRZENIA NA FACEBOOKA CZY ULUBIONE PORTALE. BEZ TELEFONU, KTÓREGO DŹWIEK ZAZWYCZAJ SYGNALIZUJE KŁOPOTY W PRACY, BEZ PLAZMY W POKOJU, NA KTÓREJ MOGLIBYŚMY ZOBACZYĆ KOLEJNE ZAŁAMANIE W ŚWIECIE FINANSÓW LUB KOLEJNY KATAKLIZM NAWIEDZAJĄCY NASZĄ PLANETĘ. PRAWDA, ŻE BYŁOBY MIŁO? NIESTETY, DLA WIELU Z NAS CYFROWY DETOKS STAJE SIĘ DZISIAJ NIEMAŁYM WYZWANIEM.

TEKST: PAWEŁ JÓZEFACKI, ILUSTRACJE: KRZYSZTOF ROGALSKI

Historia nowożytnego świata jest pełna odkryć i wynalazków, które od początku budziły strach przed integracją z ówczesną kulturą. Dziś są one niezbędne i oczywiste. Wydaje się, że obecna rewolucja technologiczna niczym nie różni się od poprzednich. Należy jednak zdać sobie sprawę z tego, że nowe technologie uderzają w społeczeństwo z nadmierną szybkością. Szybkością, która nie daje ludziom wystarczającej ilości czasu na poprawną reakcję, na wykształcenie odpowiednich i zdrowych schematów zachowania oraz myślenia. Technologia atakuje instynkt samozachowawczy w bardzo przebiegły sposób – usypiając go. W efekcie jej użytkownicy stają się więźniami nowych nawyków, które przejmują kontrolę nad dotychczasowymi zachowaniami.

DAWCA CZY ZŁODZIEJ CZASU?

Jednym z założeń twórców nowych technologii jest oszczędność czasu. A jednak jeszcze nigdy ludzie na całym świecie nie mieli tak mało czasu dla siebie i swoich bliskich. Zostaliśmy zniewoleni przez technologie, które miały przynieść wybawienie od pędzącego świata. Dostęp do internetu mamy niemalże wszędzie, czy to pijąc kawę w kawiarni, spotykając się

w barze ze znajomymi, czytając najnowsze wiadomości, idąc ulicą, czy, o zgrozo, kierując samochodem. Giniemy w potopie informacji, a świat rzeczywisty zlewa się z tym cyfrowym coraz bardziej. Paradoksalnie technologia, która sprawia, że życie jest coraz ciekawsze i bardziej kolorowe, nie uczy, jak odpowiednio jej używać. Niestety, rewolucja w obiegu informacji nie przyniosła ze sobą instrukcji obsługi. Dziś bariery, które dzieliły życie osobiste i służbowe, rozpadają się, a przynajmniej tak wynika z raportu Forbes Insights. Ankieta przeprowadzona przez Gyro wśród 500 osób zajmujących stanowiska kierownicze pokazuje nowy świat, w którym praca przestaje być określonym czasem w ciągu dnia, a staje się stanem umysłu. Podsumowanie raportu potwierdza zmiany, które już od dłuższego czasu widać w podejściu wielu osób do pracy. Ponad połowa respondentów stwierdziła, że przez 24 godziny na dobę otrzymuje ważne informacje mające wpływ na decyzje biznesowe. Tylko 2 procent osób odpowiedziało, że nigdy nie pracuje w nocy i w weekendy, a 3 procent, że nie wysyła e-maili, będąc na urlopie. Swobodny dostęp do informacji sprawia, że wiele osób jest w pracy przez całą dobę i do tego 7 dni w tygodniu.

ŻYCIE „INSTANT”

Brak czasu nie jest jednak jedynym problemem. Dr Larry Rossen w książce „iDisorder: Understanding Our Obsession with Technology and Overcoming Its Hold on Us” podsumowuje wyniki badań i własnych spostrzeżeń na temat wpływu postępującej cyfryzacji na współczesne społeczeństwo. Wnioski są głęboko niepokojące. Okazuje się bowiem, że ciągle używanie nowinek technologicznych może przeprogramować ludzki mózg w taki sposób, że nie będzie on w stanie zapamiętać prostych faktów, mając świadomość, że są one w zasięgu klawiatury i wyszukiwarki Google.

W ciągu ostatnich kilku miesięcy można było również przeczytać o nowym zaburzeniu związanym z używaniem telefonów komórkowych. Wprawdzie nie jest to jeszcze potwierdzone, ale wielu badaczy zaobserwowało, że 70 procent osób nader często korzystających z telefonu ma syndrom fantomowych wibracji – czują wibracje w kieszeni, mimo że nie ma w niej telefonu.

Nie tylko przyzwyczajenia ulegają zmianom. Media społecznościowe dokarmiają ludzki narcyzm, a ciągle sprawdzanie telefonów prowadzi do zaburzeń obsesyjno-kompulsywnych. Uzależnienie od technologii osłabia zdolność skupienia.

Te same media przeddefiniowały także sposób, w jaki zawierane i utrzymywane są znajomości, a co ważniejsze, także sposób tworzenia związków. Komunikacja w wersji „instant” sprawiła, że partnerzy coraz mniej sobie ufają. Stają się paranoikami, których uspokajają jedynie kolejne aktualizacje statusów.

CYFROHOLICY

Nie będzie odkrywczym stwierdzenie, że korzystanie z technologicznych nowinek to jeden z głównych nałogów we współczesnym świecie. Na przykład w Korei gry wideo są sportem narodowym, oglądanym w telewizji przez miliony fanów, a problem uzależnienia od technologii jest postrzegany jako poważny kryzys zdrowia publicznego. Szacuje się, że ponad 30 procent obywateli tego kraju poniżej osiemnastego roku życia jest zagrożonych uzależnieniem od internetu. W świetle tych niepokojących statystyk rząd Korei tworzy ośrodki, których zadaniem jest ratowanie młodzieży przed uzależnieniem od świata cyfrowego. Są one mieszanką wojskowego rygoru oraz ćwiczeń fizycznych na świeżym powietrzu.

Problem uzależnienia został dostrzeżony także w innych krajach. Powstają ośrodki w Chinach i Stanach Zjednoczonych, a światowi eksperci z zastanawiają się, z jak dużym problemem mamy obecnie do czynienia.

PORA ZWOLNIĆ

Bez wątpienia coraz więcej osób potrzebuje wakacji od technologii. Często jednak nie jest to takie proste. Interfejsy, jakimi kontaktują się z odbiorcami strony internetowe, są zaprojektowane tak, by jak najdłużej klikać we wszystkie działy i informacje.

Niewątpliwie współczesne pokolenie przeżyło bardzo długą drogę, od zachłystnięcia się nowinkami technologicznymi, które miały pomóc w organizacji czasu, do próby ucieczki od nich – by tego czasu mieć więcej. Wiele więcej osób organizuje sobie weekendy bez internetu, żeby na nowo odkrywać zapomniane zwyczaje – rodzinne posiłki, spacer czy czytanie książek w klasycznej drukowanej formie. Nawet firmy, których istnienie opiera się na technologii, np. Intel czy IBM, prowadzą eksperymenty, w których raz w tygodniu wybrana grupa pracowników na kilka godzin zostaje odcięta od wszystkiego, co może rozpraszać ich uwagę. Jednym z coraz popularniejszych trendów w wyborze wakacji stają się ośrodki zabraniające używania internetu i telefonów podczas całego pobytu. W pokojach hotelowych nie ma nawet telewizora czy radia. Cyfrowa dieta to droga, która powinna pomóc wyrwać się z technologicznego nałogu. Na świecie rośnie apetyt na wakacje wolne od technologii. Mając odpowiednie środki finansowe, można odpowiedzieć na wyzwanie, jakie stawia przed podróżującymi małe wyspiarskie państwo na Karaibach. Saint Vincent i Grenadyny proponują specjalną wakacyjną ofertę zaprojektowaną tak, by odwiedzający przez siedem dni (i nocy) zapomnieli o współczesnej technologii. Wszystkie gadżety zostają zamknięte i zwracane dopiero z końcem pobytu.

Takie wakacje nie są przeznaczone tylko dla zamożnych. Oderwanie się od monitora i telefonu na tydzień, weekend czy nawet na kilka godzin może być naszym wyborem, niezależnie od tego, gdzie jesteśmy. Cyfrowy detoks pozwala na wyciszenie szumu informacji, na znalezienie miejsca, w którym można naładować „wewnętrzne baterie”.

FILOZOFIA POWOLNOŚCI

Potrzeba spowolnienia nie jest niczym nowym w dzisiejszym świecie. Wielu uczonych już przed wiekami ostrzegało, że każdy człowiek potrzebuje odpoczynku dla swoich myśli. W XVII wieku Blais Pascal pisał, że rozproszenie naszych myśli jest jedyną rzeczą, która pociesza nasz smutek, ale i jednym z naszych największych nieszczęść.

Slow nie jest tempem życia, bo rzeczywistość zawsze będzie przyspieszać i zwalniać w miarę naszych potrzeb i możliwości. *Slow* to filozofia podejścia do rzeczywistości. Życie nie jest systemem wspomagającym rozwój technologii, wręcz przeciwnie.

Technologia sprawiła, że coraz więcej i szybciej dowiadujemy się o wydarzeniach na całym świecie, umożliwia nam ciągły kontakt z rodziną i znajomymi, niezależnie od miejsca, w którym się znajdują. Internet jest nie tylko źródłem wiedzy, lecz także bardzo dobrym narzędziem wspomagającym naukę naszych dzieci.

Korzystając ze zdobyczy postępu, pamiętajmy jednak, że doba zawsze będzie miała 24 godziny, a każda dieta (także ta cyfrowa) powinna być odpowiednio zbilansowana i mieć swoje ograniczenia. Trzeba być bardzo ostrożnym, by coraz ciekawsze nowinki nie stały się więzieniem dla naszego czasu. Przecież życie jest czymś więcej niż zmniejszające kolor piksele telefonu czy monitora. (S)



UMOWY ŚMIECIOWE PRZEPUSTKA DO KARIERY CZY ZAWODOWA PUŁAPKA?

KRYTYKOWANE I ODSADZANE OD CZCI, TRAKTOWANE JAK PLAGA, SPYCHANE NA MARGINES – CZY RZECZYWIŚCIE UMOWY TYMCZASOWE I CYWILNOPRAWNE OBNIŻAJĄ STANDARDY NA RYNKU PRACY I ZAŚMIECAJĄ BIOGRAFIE ZAWODOWE? OPINIĘ MAJĄ OSTATNIO NIE NAJLEPSZĄ I W NIEZMIENIONEJ POSTACI RACZEJ CIĘŻKO IM BĘDZIE ODZYSKAĆ DOBRE IMIE.

TEKST: KRZYSZTOF NOWAK, ILUSTRACJA: PAWEŁ KUCZYŃSKI



PODWÓJNE STANDARDY ZATRUDNIENIA?

Dlaczego formy zatrudnienia, które jeszcze nie tak dawno były postrzegane jako dowód elastyczności i nowoczesności rynku pracy, stają się dziś niejednokrotnie przedmiotem krytyki i powodem do dyskusji o konieczności przeprowadzenia reform? Odpowiedź na to pytanie nie jest tak prosta, jak chcieliby tego ci, którzy nazywają umowy tymczasowe czy cywilnoprawne, bo o nich tutaj mowa, umowami śmieciowymi. Problem jednak rzeczywiście istnieje.

Aby zrozumieć, dlaczego coraz więcej ludzi nie tylko w Polsce, lecz także w całej Europie pracuje w oparciu o umowy inne niż umowy o pracę na czas nieokreślony, należy przyjrzeć się reformom rynków pracy przeprowadzanym w Europie w latach 80. i 90. XX wieku. Wówczas, w obliczu rosnącego bezrobocia, wiele krajów, takich jak Hiszpania czy w późniejszym okresie Polska, zdecydowało się na poszerzenie palety dostępnych form zatrudnienia, jednocześnie w obawie przed protestami społecznymi nie modyfikując zasad zatrudniania na czas nieokreślony. Ten brak symetrii i kompleksowości reform doprowadził do powstania swego rodzaju dualizmu na rynku pracy, gdzie pracownicy dzielą się na „szczęśliwców” z umową o pracę na czas nieokreślony oraz resztę, która często nie tyle chce, ile musi zadowolić się innymi rodzajami umów. Obecny kryzys gospodarczy uwypuklił problemy wynikające z takiego stanu rzeczy, gdyż pracownicy zatrudnieni w oparciu o „elastyczne formy zatrudnienia” najczęściej jako pierwsi stają się ich ofiarami w obliczu pogarszającej się koniunktury. Zbyt często jednak w tej dyskusji przeciwstawia się sobie partykularne perspektywy pracownika i pracodawcy, zapominając o tym, jaką funkcję w gospodarce mogą pełnić umowy tymczasowe i cywilnoprawne.

RZUT OKA NA STATYSTYKI

Według najświeższych danych Głównego Urzędu Statystycznego i Eurostatu, w Polsce 3,316 miliona osób, czyli 26,7 procent ogółu zatrudnionych, pracuje w oparciu o umowy tymczasowe, wobec średniej unijnej na poziomie 14,1 procent. Polska wyprzedziła tym samym dotychczasowego lidera klasyfikacji – Hiszpanię. W przypadku ludzi młodych (15–24 lata) wskaźnik ten jest zdecydowanie wyższy – w 2011 wynosił 64,6 procent i był drugim w krajach OECD po Słowenii. Dodatkowo rosnąca rzesza osób pracuje na podstawie umów niepodlegających pod prawo pracy, czyli umów cywilnoprawnych w postaci zlecenia i umowy o dzieło. Polskie Ministerstwo Finansów szacuje tę liczbę na 800 tysięcy osób, przy czym nie ma pewności, że dla wszystkich tych osób jest to jedyne zatrudnienie. Jeśli jednak tak jest, to nie mają one prawa do płatnego urlopu i nadgodzin, zwolnienia lekarskiego, a w przypadku umów o dzieło również prawa do ubezpieczenia społecznego (zdrowotnego, emerytalnego i rentowego). Nadal pracujący na podstawie umów cywilnoprawnych nie mogą tworzyć własnych związków zawodowych i wstępować do już istniejących. Być może jednak ostatnia rekomendacja Międzynarodowej Organizacji Pracy, uznającej skargę na Polskę w tym zakresie, może skłonić decydentów do skorygowania tego stanu rzeczy.

Mówiąc o zatrudnieniu i jego formach, nie można zapominać o danych dotyczących bezrobocia – w Polsce kształtuje się ono na poziomie 10,1 procent wobec średniej UE 10,2 (dane Eurostatu za marzec 2012 wg BAEL), jednak już przy zastosowaniu metodologii krajowej wskaźnik ten wynosił w marcu 13,3 procent. Bezrobocie wśród osób młodych (do 24. roku życia) kształtuje się na zdecydowanie wyższym poziomie procentowym – 26,9 dla Polski wobec 22,1 średniej unijnej. Tyle o danych. Ich interpretacja nie jest jednak jednoznaczna i oczywista.

W NOWYM ŚWIECIE ELASTYCZNEGO ZATRUDNIENIA

Część ekonomistów zajmujących się rynkiem pracy uważa, że elastyczniejsze formy zatrudnienia pracowników (także ich zwalniania) obniżają koszty ponoszone przez pracodawców, tym samym mogą skutkować większym popytem na pracę, zwłaszcza w odniesieniu do osób, które z racji wieku nie mogą jeszcze pochwalić się wystarczającym doświadczeniem zawodowym. Pracodawca często woli nie ryzykować i zatrudnić je na podstawie umów cywilnoprawnych lub tymczasowej umowy o pracę. Może on w ten sposób poznać nowego pracownika i zdecydować, czy jego kompetencje odpowiadają danemu stanowisku i są zgodne z potrzebami firmy. Ponadto zatrudnianie w oparciu o takie umowy pozwala szybciej reagować na zmieniającą się sytuację gospodarczą – gdy ulega ona pogorszeniu, po prostu nie przedłuża się umowy, a tym samym unika ryzykownego, kosztowniejszego i czasochłonnego rozwiązywania umów na czas nieokreślony. Z kolei dla osób chcących wejść na rynek pracy może to być okazja do zdobycia pierwszych doświadczeń zawodowych, które w przyszłości zaprocentują i poprawią jego pozycję przetargową na rynku pracy. Jest to ważne szczególnie w krajach, w których system szkoleń i praktyk zawodowych jest słabo rozwinięty. Młodzi ludzie często decydują się też na podpisywanie umów śmieciowych wyłącznie po to, by zdobyć środki niezbędne do utrzymania się i finansowania poszukiwań pracy wychodzącej naprzeciw ich oczekiwaniom. Hipotezy te zdaje się potwierdzać fakt, że wśród osób w grupie wiekowej 25–54 liczba zatrudnionych tymczasowo spada w Polsce do 23,5% z wyżej wspomnianych 64,6% dla osób w wieku 15–24. W przypadku krajów OECD jest to spadek z 26,4% do 10,2%. Co jednak dzieje się w sytuacji, kiedy niestabilna historia zatrudnienia (od zlecenia do zlecenia) zaczyna ciążyć zamiast pchać do przodu?

W ZAKŁĘTYM KRĘGU UMÓW ŚMIECIOWYCH

Okazuje się, że praca przez dłuższy okres na podstawie umów tymczasowych bądź też umów cywilnoprawnych może być pułapką, z której trudno się wydostać. Dochodzi w tym przypadku do tzw. segmentacji lub dualizmu rynku pracy. Wbrew zwolennikom hipotezy, według której umowy śmieciowe są tylko koniecznym etapem na ścieżce zawodowej i ułatwiają dalszą karierę, w tym przypadku zakłada się, że część pracowników, którym nie uda się płynnie przejść na stabilniejszą formę zatrudnienia w odpowiednim czasie, ►

jest w pewien sposób „stygmatyzowana” przez rynek pracy. Ich szanse na znalezienie stałego zatrudnienia maleją zatem z każdym rokiem przepracowanym na umowie śmieciowej. Trudno więc mówić o konkurencyjnym i jednorodnym rynku pracy, który daje równe szanse wszystkim osobom o zbliżonym potencjale, a raczej o segmentach rynku, pomiędzy którymi nie ma łatwego i płynnego przejścia. Wielu komentatorów mówi w tym kontekście o prekaryzacji pracy i rosnącej grupie prekariuszy skazanych na niepewność zatrudnienia, ograniczony dostęp do kredytów mieszkaniowych czy też, w wielu przypadkach, na brak odpowiedniego zabezpieczenia emerytalnego w przyszłości. Dane nie potwierdzają jednoznacznie tej hipotezy, ale pokazują pewną regularność: spośród osób zatrudnionych na umowę o dzieło w 2009 roku 30% miało dwa lata później umowę na czas nieokreślony, a 10% było zarejestrowanych jako bezrobotne. W przypadku osób zatrudnionych na czas określony w 2009 roku, 40,3% miało już stałe zatrudnienie w 2011, a 7,8% osób przebywało na bezrobociu. Natomiast spośród pracujących na umowie na czas nieokreślony w 2009 aż 75,6% utrzymało taką formę zatrudnienia, a szeregi bezrobotnych zasililo tylko 3,4% z nich (badania przytoczone w kwartalnym raporcie NBP o podaży pracy z marca 2012 roku).

Zdaje się, że w Polsce istnieje tendencja do traktowania umów cywilnoprawnych jako tańszego, łatwiejszego w obsłudze i mniej zobowiązującego zamiennika umów o pracę. Mimo że w sytuacji, w której zatrudniony musi pracować w określonym miejscu, godzinach i pod kierownictwem, jest to niezgodne z polskim prawem pracy (art. 22 Kodeksu Pracy), to znikome egzekwowanie tych przepisów nie zachęca pracodawców do zmiany takich praktyk, a wręcz prowadzi do ich intensyfikacji. Według raportu z działalności Państwowej Inspekcji Pracy za rok 2010, w przypadku 13,1% kontrolowanych zakładów stwierdzono niezgodność rodzaju umowy z charakterem świadczonej pracy (w porównaniu do 9,3% w 2009 i 8,8% w 2008). Dane PIP pokazały również, że ponad 20% osób zatrudnionych w skontrolowanych firmach pracowało w oparciu o umowę cywilnoprawną. Taka sytuacja sugeruje, że pracodawcy w niewielkim stopniu przejmują się badaniami pokazującymi, że pracownik, któremu stworzono stabilniejsze warunki zatrudnienia, jest wydajniejszy. Wiele do życzenia pozostawia również udział sektora prywatnego w finansowaniu szkoleń zawodowych, a także dostępność tychże szkoleń dla pracowników czasowych.

W STRONĘ UJEDNOLICENIA STANDARDÓW ZATRUDNIENIA

W sytuacji, w której wiele krajów europejskich boryka się z uciążliwym problemem bezrobocia i spowolnienia wzrostu gospodarczego, należy w najbliższym czasie oczekiwać wzmożonej dyskusji o tym, jaką politykę dla rynku pracy obrać. Zresztą kierunek zmian wskazała pod koniec 2010 roku Komisja Europejska, która w swym raporcie formułuje kilka podstawowych zaleceń, takich jak eliminowanie nadwyżki tymczasowych form zatrudnienia, zmniejszenie pozapłacowych kosztów zatrudnienia czy zwiększenie publicznych

i prywatnych wydatków na szkolenia. Co istotne, KE dostrzega potrzebę wprowadzenia nowej formy zatrudnienia – „jednorodnej umowy na czas nieokreślony”, która łączyłaby w sobie pewną elastyczność umów tymczasowych, gwarantując jednocześnie pewien stopień ochrony pracownika (tym większy, im dłuższy staż jego pracy). Poszczególne kraje UE powinny same jednak znaleźć rozwiązania najlepiej odpowiadające lokalnej specyfice rynku pracy.

W Polsce już trwa dyskusja o tym, w jaki sposób państwo powinno odpowiedzieć na wymagania współczesnego rynku pracy. Jednym z możliwych rozwiązań jest próba ograniczenia powszechności umów śmieciowych poprzez wprowadzenie dodatkowych kryteriów niezbędnych do ich zawarcia. I tak na przykład przy umowach cywilnoprawnych możliwe byłoby wprowadzenie progu kwoty, na jaką opiewa umowa, przy którym mogłaby być ona zawarta. Ważne, by uchronić przed tego typu umowami osoby najgorzej zarabiające, gdyż poziom ich zarobków nie pozwala odkładać dobrowolnie pieniędzy na ubezpieczenie emerytalne. Oczywiście nie chodzi w tym przypadku o próbę likwidacji umów cywilnoprawnych, ponieważ odgrywają one ważną rolę w wielu rodzajach działalności zawodowej (artyści, dziennikarze, tłumacze itp.). Innym rozwiązaniem jest pomysł analizowany obecnie w Ministerstwie Pracy i Polityki Społecznej, zakładający wprowadzenie nowych rodzajów umów: umowy będącej rozwiązaniem pośrednim między umową zlecenia a umową o dzieło, która podlegałaby składkom na świadczenia społeczne, a także tzw. projektowej umowy o pracę, która obowiązywałaby tylko na czas wykonania danego projektu. Jeszcze innym rozwiązaniem jest wprowadzenie pewnej elastyczności do umów o pracę na czas nieokreślony – odprawa za zwolnienie przysługiwałaby tylko pracownikom o określonym stażu, co miałoby zachęcić pracodawców do częstszego zatrudniania w oparciu o stałe umowy. Chodzi też o to, żeby pracodawcy przestali postrzegać odprawę jako swoistą karę za zwolnienie pracownika, a raczej traktowali ją jako odszkodowanie za rozwiązanie umowy za porozumieniem stron, które niezbędne jest zatrudnionemu do utrzymania się w czasie poszukiwania nowej pracy.

Jedno jest pewne: w szybko zmieniającym się świecie także rynek pracy nie będzie stać w miejscu, tym bardziej że staje się coraz bardziej różnorodny. Z wielu powodów obrona status quo raczej nie ma szans na powodzenie. Z racji tego jednak, że stosunek pracy jest szczególnym stosunkiem ekonomicznym, przeprowadzane zmiany nie mogą wychodzić wyłącznie naprzeciw oczekiwaniom pracodawców. Regulacje rynku pracy powinny bowiem w większej mierze uwzględniać także oczekiwania pracowników, nawet jeśli obecnie ich głos, szczególnie tych zatrudnianych na umowy śmieciowe, jest mało słyszalny. (S)

KRZYSZTOF NOWAK – FILOZOF I EKONOMISTA,
PRACUJE W INSTYTUCIE FILOZOFII UAM W POZNANIU.

(motion)
Przestrzeń niezwykłych ludzi



(SLOW)

(SLOW)

SUPERSONIK

SPORTOWIEC, PRZEDSIĘBIORCA, SPOŁECZNIK. ROBI TO, CO CHCE, ZAWSZE Z PASJĄ I NA 100 PROCENT. JEST WŁAŚCICIELEM TRZECH SAMOLOTÓW, ALE JAKO ŚWIADOMY KONSUMENT KORZYSTA Z TANICH LINII LOTNICZYCH. RAFAŁ SONIK, ZWANY PRZEZ PRZYJACIOŁ SUPERSONIKIEM, OPOWIADA (SLOW) O SWOJEJ OBSESJI UDOSKONALANIA ORAZ O TYM, JAK DAKAR WPŁYNĄŁ NA JEGO ŻYCIE.

ROZMAWIAŁ: JAKUB LIPCZIK, ZDJĘCIA: JACEK BONECKI

JAKI BYŁ MAŁY RAFAŁ SONIK?

Byłem niespokojnym duchem. Kiedy miałem jedenaście lat, namówiłem młodą nauczycielkę i jej chłopaka, żeby pojechali ze mną na narty. Uciekliśmy na cały tydzień. Zadzwoniliśmy z Zakopanego do rodziców, żeby się nie martwili, i zapewniliśmy: mamy opiekunów! Oni byli przerażeni, a my uciekliśmy, bo po prostu była piękna zima. W liceum to się nie zmieniło, cały czas kombinowałem, żeby coś się działo.

TO NATURA CHULIGANA PANA WOŁAŁA?

Nie, we mnie nigdy nie było destruktora ani lesera. Ja miałem w sobie zawsze jakąś potrzebę kreacji, czyli zmieniania tego, co się wokół mnie dzieje, nawet najdrobniejszych rzeczy. Mój przyjaciel, ks. Andrzej Augustyński, mówi: „jak stół by nie był nakryty, ty zawsze będziesz wszystko przestawiał”. Ja natomiast przyjmuję, że tym się różnimy od wszystkich innych stworzeń, że poprawiamy. To jest dla mnie zupełnie normalne. Kiedy dostałem pierwsze narty, od razu zacząłem się zastanawiać, co zrobić, żeby były lepsze. Chciałem znaleźć plastik bardziej śliski niż ślizg, który miałem w swoich nartach. W efekcie przetopilem wiadra, z których zrobiłem nowe ślizgi.

DOMYŚLA SIĘ PAN, SKĄD U PANA TAKI CHARAKTER?

Chyba winna jest kompilacja genów. Moja mama była w tamtych czasach bardzo innowacyjna, a ojciec nie był facetem, który biernie stał w kącie. Ale najciekawsza jest chyba historia pradziadka, który w dużej mierze przyczynił się do tego, kim dzisiaj jestem. Pamiętam go jeszcze z czasów, kiedy miałem 4 lata. Wtedy po raz pierwszy pojechałem w odwiedzin do moich dziadków w Krakowie. Był tam sędziwy mężczyzna nietypowo ubrany. Miał kowbojki, skórzaną kurtkę, dziwną koszulę i kapelusz. Zobaczyłem go, zanim jeszcze obejrzałem pierwszy western, więc był dla mnie zjawiskiem niesamowitym. Jak się później okazało, ten człowiek był właśnie moim

pradziadkiem. Pamiętam, że cały czas podróżował, tydzień był w domu, a potem od razu wypływał. Ktoś ostatnio powiedział, że „przecież ty jesteś taki jak pradziadek”. To „wiercipięctwo” tak mi zostało, chociaż zwracam uwagę na „stopklatki”, żeby na chwilę podzielać w trybie *slow*. Te zatrzymania robię najczęściej w moich ulubionych miejscach, np. w Miami.

JEST PAN WTEDY ZUPEŁNIE NIEDOSTĘPNY?

Odbieram kilka telefonów, ale potem odpoczywam. Nie może być tak, że proza życia zabrania robić to, co się kocha. Marzenia są przecież po to, żeby je spełniać, zwłaszcza te najmniejsze.

RODZICE WSPIERALI PANA W DAŻENIU DO REALIZACJI MARZEŃ?

OJCIEC PROPONOWAŁ, BY PRÓBOWAŁ PAN INNYCH DYSCYPLIN SPORTU?

Mój ojciec przekazał mi dwie bardzo ważne rzeczy w życiu. Nie zrobił tego w celach moralizatorskich, pokazał mi je swoją postawą. Mówił, że jeżeli coś robię i chcę, żeby to było wykonane dobrze, to muszę to zrobić z pasją. Bez niej lepiej w ogóle niczego nie zaczynać albo nie spodziewać się jakiegokolwiek rezultatu. Odnoszę to także do tych zwykłych sytuacji – biegiesz do autobusu, musisz dobiec i zrobisz wszystko, żeby do niego wsiąść. Tak było właśnie z moim pierwszym Dakarem. Mieliśmy wtedy masę różnych problemów – po drugim etapie silnik nie odpalił, a ja musiałem pokonać jeszcze 630 kilometrów do biwaku, gdzie dopiero można było naprawić quada. Najpierw ciągnął mnie Argentyńczyk, a potem Anglicy swoją ciężarówką, choć jazda quadem za takim samochodem jest koszmarnie trudna. Dopiero po 200 kilometrach przyjechał samochód serwisowy, który ciągnął mnie przez kolejny odcinek. Myślę, że gdyby nie to pamiętne zdanie o pasji, wypowiedziane kiedyś przez mojego ojca, to na pewno wielokrotnie poddałbym się w czasie rajdu. ▶

(90)

(91)



ZAPRASZAMY DO RAJU

PIRAMIDY, SFINKS I WIELBŁĄDY TO TYLKO HACZYKI, NA KTÓRE MA SIĘ ZŁAPAĆ TURYSTA. W RZECZYWISTOŚCI WAKACJE W KRAJU FARAONÓW WYGLĄDAJĄ INACZEJ. ZWYKLE SĄ TO DWA TYGODNIE CIĄGŁEGO LEŻENIA NA PLAŻY, CZASEM PRZERWANE JEDNODNIOWĄ WYCIECZKĄ, PODCZAS KTÓREJ W KRÓTKIM CZASIE TRZEBA ZOBACZYĆ JAK NAJWIĘCEJ. PRAWDZIWY EGİPT GDZIEŚ UMYKA.

TEKST I ZDJĘCIE: RAFAŁ HETMAN



Egipt to przede wszystkim ludzie. Pojedyncze jednostki, które ciężko pracują, żeby utrzymać swoich bliskich. To rodziny, które są szczęśliwe, kiedy ojcu uda się znaleźć pracę w hotelu albo restauracji w turystycznym kurorcie. Tylko wtedy z jego pensji da się żyć, można nawet kupić samochód. Gorzej żyje się, jeśli trzeba znaleźć inne zajęcie albo zorganizować swój drobny biznes samemu. Potrzeba wówczas wiele zaparcia i wytrwałości.

HIERARCHIA KOLORÓW

Z samego rana młodzi chłopcy w zielonych koszulach włączają zraszacz na trawnikach okalających hotel. Niektórzy biorą do ręki grabie i zaczynają oczyszczać teren z liści, inni chwytają za sekatory i kierują ich ostrza w stronę wyrośniętych gałązek. Tak zaczyna się każdy dzień. Kiedy słońce jeszcze nisko wisi nad horyzontem, mężczyźni w czerwonych koszulach otwierają kawiarenki, sklepy oraz wypożyczalnie położone na terenie należącym do hotelu. Jeszcze zaspani, nie w pełni przytomni, ale gotowi do pracy przygotowują swoje lokale na przyjęcie pierwszych klientów. W tym samym czasie panowie w białych koszulach zapiętych pod samą szyję ustawiają się w rzędzie na stolówce i czekają na gości, którzy już za chwilę zasiądą do śniadania. Cały bufet pachnie. Pachną świeże bułki leżące w dwóch wiklinowych koszach, sery wyłożone na kilkunastu talerzach – każdy gatunek osobno, pachną też szynka, owoce i warzywa. Hotelowi goście niespiesznie zaczynają jeść śniadanie.

O tej samej porze chłopcy w pomarańczowych koszulach rozchodzą się między poszczególne budynki kompleksu, by służyć wypoczywającym pomocą lub radą. Czekają na prośby gości, które od razu wykonują bez mrugnięcia okiem. Mogą przenieść bagaż, donieść dodatkowy ręcznik, są też pośrednikami między wypoczywającymi a szefostwem hotelu.

Po śniadaniu do pracy ruszają chłopcy w niebieskich koszulkach. Z wiadrzem w jednej ręce, z miotłą w drugiej zabierają się do sprzątania pokoi. Wymieniają pościel, ręczniki, myją podłogi, czyszczą lustra, dbają o porządek. Każdego dnia ustalony schemat pracy się powtarza. Zieloni strzygą trawę, przycinają gałęzie i liście. Czerwoni sprzedają napoje, przekąski i drobne upominki, wypożyczają pletwy, okulary, rurki. Biali donoszą, odnoszą, serwują. Pomarańczowi wskazują, załatwiają i pośredniczą, a niebiescy sprzątają, myją, czyszczą.

Z DRUGIEJ STRONY MURU

Na kamienistej plaży tuż za bramą hotelu w szalasie zrobionym z desek i suchych palmowych liści budzi się Naser. Słońce jeszcze nisko wisi nad horyzontem, jego blask odbija się od tafli wody w zatoce Akaba. Chociaż jest bardzo wcześniej, upał daje o sobie znać. Powietrze stoi w miejscu, oddech robi się cięższy, płytszy. Naser podnosi powoli swoje ciało, spogląda na niewzruszoną wodę i przeciera oczy. Mógłby już wstać, rozpocząć nowy dzień, ale na razie nie ma ku temu powodów.

Turyści z Niemiec, Wielkiej Brytanii czy Polski jeszcze siedzą w pokojach albo jedzą śniadanie. Dlatego Naser tylko przewraca się na drugi bok i zaczyna drzeć. Będzie tak spał dopóty, dopóki ktoś nie wyrwie go ze snu.

Naser jest beduinem, ale nie przemierza skalistego półwyspu Synaj na wielbłądach, tak jak robili to jego przodkowie. On postanowił być beduinem osiadłym. Rzucił tułaczkę po świecie i na plaży koło hotelu wybudował szałas. Konstrukcja ma trzy ściany, jej szkielet stanowią deski, a wszystko pokryte jest suchymi palmowymi liśćmi. W szalasie Naser urządził wypożyczalnię sprzętu do nurkowania oraz bibliotekę. W skład skromnego księgozbioru wchodzi książki w różnych językach. Wypożyczalnia sprzętu to kilkanaście masek do nurkowania powieszonych na jednej ze ścian. Naser jest też kucharzem i w swoim szalasie prowadzi coś w rodzaju restauracji z beduińskim jedzeniem.

Kiedy podchodzę pod jego szałas, dźwięk deptanych przeze mnie kamieni budzi Nasera ze snu.

– *Hello! How are you?* – wita mnie, podnosząc się z legowiska. – *Masz może ochotę na beduińskie jedzenie?* – pyta. – *Pewnie, że mam* – odpowiadam. – *Ale co to jest to beduińskie jedzenie?*

– *A co lubisz? Lubisz kurczaka?* – dopytuje Naser.

– *Lubię, ale czy kurczak to oryginalny składnik beduińskich potraw, czy serwujesz go, bo turyści są przyzwyczajeni do takiego rodzaju mięsa?*

– *Jak lubisz kurczaka, to ci zrobię z kurczakiem* – odpowiada Naser.

– *Ale ja chciałbym takie prawdziwe jedzenie beduińskie, takie jak ty jesz, nie to, które serwujesz wszystkim* – tłumaczę.

– *Ale jeśli lubisz kurczaka, to ja ci zrobię z kurczakiem* – Naser nie chciał wyjaśnić mi, co jedzą prawdziwi beduini, cały czas sugerował jeden rodzaj mięsa, aż zrozumiałem, że opcja z kurczakiem jest jedyną wersją posiłku, jaką może przygotować. Zrezygnowałem więc z jedzenia i zacząłem pytać Nasera o jego mały biznes i życie w Egipcie.

– *To jest moja restauracja* – pokazuje swój szałas.

– *Jeśli ktoś chce jeść, to jadę do miasta po składniki i na oczach klienta robię mu posiłek. Trzeba zamówić go wcześniej, bo przygotowanie wszystkiego trwa około dwóch godzin. Muszę najpierw zdobyć mięso, warzywa i różne inne rzeczy, potem rozpalić ognisko i wszystko przyrządzić na miejscu. Jak nie chcesz jeść, możesz wypożyczyć sprzęt do nurkowania. Masz ochotę? Tutaj są maski z rurkami, zakładasz je na twarz i możesz nurkować w morzu. W tej okolicy są bardzo ładne rafy i piękne ryby, dużo ryb. Warto to wszystko zobaczyć. A tam w rogu mam bibliotekę, taką małą, ale jest. Są książki po angielsku, francusku, niemiecku, hiszpańsku. Chcesz jakąś?*

– *A masz coś po polsku? Przyjeżdża tu dużo turystów z Polski* – mówię.

– *Nie, po polsku jeszcze nie mam. Może kiedyś coś znajdę* – odpowiada.

– *Dużo masz klientów? Pewnie przychodzą tylko z tego hotelu* – wskazuję ręką na białe budynki tuż u podnóża gór.

– *No tak, tylko z tego hotelu mam klientów. Tu nie ma nic innego w okolicy. Ale mało osób przychodzi. Bardzo mało.* ►

SZEPT W TŁUMIE

JESTEŚ NA PRZYJĘCIU, WOKÓŁ CIEBIE KILKANAŚCIE INNYCH OSÓB, GWAR, MUZYKA. ROZMAWIASZ ZE ZNAJOMYM I TYLKO NA TYM SIĘ SKUPIASZ. WYSTARCY JEDNAK, ŻE USŁYSZYSZ SVOJE IMIĘ WYPOWIEDZIANE NAWET SZEPTEM, A MIMOWOLNIE ZACZNIESZ POSZUKIWAĆ OSOBY, KTÓRA JE WYPOWIEDZIAŁA. DLACZEGO TAK SIĘ DZIEJE? DLATEGO, ŻE MASZ DO CZYNIEŃIA Z EFEKTEM COCKTAIL PARTY.

TEKST: IZABELLA LASOCKA, ILUSTRACJA: AGNIESZKA PIETRZYKOWSKA

CO TO TAKIEGO?

To zdolność naszego umysłu do odcięcia się od zmysłowego postrzegania niektórych bodźców i nastawienie poznawcze na konkretne sygnały. Okazuje się bowiem, że jesteśmy wyjątkowo wrażliwi na dźwięk naszego imienia, wyłapujemy je natychmiast spośród wielu innych bodźców. Dokładnie na tej samej zasadzie matka zawsze usłyszy płacz swojego dziecka, a barman już po kilku tygodniach pracy w zatłoczonym barze będzie w stanie dokładnie selekcjonować informacje dobiegające do niego z tego pełnego zgiełku miejsca. Efekt cocktail party występuje także w czasie snu, kiedy zazwyczaj mamy wrażenie, że tracimy kontakt z otoczeniem. Nasz mózg nadal jednak pozostaje na pewnym poziomie funkcjonowania, a nasze zmysły nie przerywają pracy podczas snu i wysyłają sygnały do mózgu. Ten ignoruje większość z nich, reagując jednak na sprawy istotne. Jeśli czujemy dym lub czyjś dotyk, najprawdopodobniej obudzimy się. Nawet jeśli śpimy, mimowolnie zareagujemy na dźwięk swojego imienia, usłyszymy je wśród wielu innych dźwięków. Dzieje się tak prawdopodobnie dlatego, że w drodze ewolucji między innymi ten mechanizm miał zapewnić przetrwanie naszym przodkom w czasie snu.

NARZĘDZIE MANIPULACJI?

Efekt imienia, nazywany właśnie efektem cocktail party, znany jest od dość dawna. Jego siła przejawia się nie tylko podczas spotkań towarzyskich, lecz także w sytuacjach biznesowych i marketingowych. Zapewne wielu z nas zdarzyło się odebrać telefon z banku, a w słuchawce usłyszeć: „Dzień dobry, pani Kasiu...” lub otrzymać e-maila z nieznanej firmy rozpoczynającego się właśnie od naszego imienia. Dzisiaj możemy mieć kubek z własnym imieniem, kalendarz czy ręcznik kąpielowy. Handlowcy wykorzystują tzw. magię imienia głównie po to, by już na wstępie przyciągnąć naszą uwagę. To połowa ich sukcesu. Badania marketingowe i psychologiczne wykazały, że zwracanie się po imieniu do klienta zwiększa jego skłonność do robienia zakupów.

Marketing spersonalizowany to dziedzina ciągle jeszcze młoda w Polsce, ale skuteczna i ciesząca się dość dużą popularnością. Na rynku istnieje wiele firm, które oferują swoją wiedzę i doświadczenie właśnie w tym obszarze. Uczą one, jakich błędów nie popełniać, jakich narzędzi używać, żeby skutecznie dotrzeć do potencjalnych klientów.

Jaka jest skuteczność tzw. efektu imienia? Nie działa on zawsze i wszędzie. Jeśli zbyt wcześnie pozwalamy sobie przejść na skróconą formę kontaktu z nowo poznaną osobą, nie zawsze spotyka się to z jej entuzjazmem. Wszystko zależy bowiem bezpośrednio od granic psychologicznych, które każdy wyznacza. Takie granice określają nasze terytorium – myśli, odczucia, potrzeby, prywatność. Jeśli ktoś zbyt szybko czy nachalnie je przekroczy, istnieje duże prawdopodobieństwo, że zareagujemy niechęcią i wycofaniem. W biznesie znane jest pojęcie manipulacji poprzez naruszanie granic psychologicznych. To techniki manipulacyjne, które używane są zarówno w przypadku, kiedy chcemy na kimś coś wymusić, uzyskać jego zgodę, jak i w sytuacji handlowej. Tak więc uważność na samego siebie i własne granice może nam pomóc w podjęciu samodzielnych i świadomych decyzji dotyczących na przykład tego, czy oby na pewno potrzebujemy kolejnej karty kredytowej albo nowszego samochodu.

BADANIA NAD EFEKTEM IMIENIA

Wiele dociekań nad tym zagadnieniem wykazało, że nie tylko reagujemy na swoje imię, bardziej lubimy same litery, z których ono się składa. Eksperymenty profesora Dariusza Dolińskiego potwierdziły, że pierwsze litery naszego imienia wydają się nam przyjemniejsze niż inne, które w nim nie występują.

Jeszcze ciekawsze wyniki przedstawia Brett W. Pelham (w pracy „Why Susie sells seashells by the seashore: Implicit egotism and major life decisions”) wraz z innymi badaczami z uniwersytetu w Buffalo. Według nich znaczącą rolę przy podejmowaniu czasem ważnych decyzji pełnią tak błahе argumenty, jak podobieństwo wybieranej opcji do naszego imienia czy daty urodzenia. Aby wyjaśnić to zjawisko, naukowcy stworzyli tzw. teorię ukrytego egotyzmu.

Egotyzm to kierowanie własnej i cudzej uwagi na siebie, nadmierne skupianie się na swoich uczuciach i emocjach. Pojęcie to wiąże się głównie z potrzebą bycia akceptowanym i lubianym przez innych. Chcemy podtrzymywać pozytywny obraz siebie, dlatego, zazwyczaj dość automatycznie, pozytywnie myślimy o osobach, które urodziły się tego samego dnia lub noszą takie samo imię jak my. Naukowcy stwierdzili, że właśnie z powodu ukrytego egotyzmu wybieramy te miasta, szkoły i zawody, w których nazwie występują litery z naszego imienia czy nazwiska. ▶





kulturalnie obowiązkowe

Półmetek lata już za nami. To chyba najlepszy okres, żeby przyjrzeć się temu, co w mijające wakacje zdarzyło się w świecie kultury i co ciekawego może się jeszcze wydarzyć...

Urlop to najdogodniejszy czas na książki. Mamy wtedy więcej czasu, a poza tym miejsca, w których odpoczywamy – plaża, ogród, brzeg jeziora, sprzyjają zatopieniu się w lekturze. Nie trzeba od razu sięgać po grube tomy, na przykład biografii Miłosza (Andrzej Franaszek „Miłosz. Biografia”) czy Korczaka (Joanna Olczak-Ronkier „Korczak. Próba biografii”) nominowanych do tegorocznej nagrody Nike. Choć to lektury szalenie interesujące, niekoniecznie nadają się do czytania na wakacjach. W tym czasie najlepiej zabrać ze sobą coś łatwiejszego w odbiorze, przy czym rzeczywiście wypoczniemy.

Dlatego ciekawą propozycją może okazać się książka brytyjskiego dziennikarza Davida Whitehouse’a „Łóżko” (wyd. Prószyński i S-ka). W swojej debiutanckiej powieści Whitehouse opisuje życie Mała – chłopca, później mężczyzny, który przeradza się w niesamowitego egoistę. Pewnego dnia Mał postanawia, że już nigdy więcej nie wstanie z łóżka. Po jakimś czasie, z powodu ogromnego apetytu i braku ruchu, staje się... najgrubszym człowiekiem świata. Na zachodzie powieść została bardzo dobrze przyjęta, a wielu recenzentów dopatrywało się w niej swego rodzaju protestu przeciwko tradycyjnemu stylowi życia.

Latem bardzo dużo dzieje się także w muzyce. Wydaje się, że już prawie każde miasto ma jakiś festiwal czy przegląd piosenki. Można wybierać między koncertem Madonny w Warszawie a recitałem Jerzego Połomskiego w małym mieście na Śląsku. Do wyboru do koloru.

Na uwagę zasługuje przede wszystkim cykl koncertów „Męskie granie”, który już na stałe wpisał się w wakacyjną ofertę muzyczną. Koncert stworzony z myślą o panach przyciąga pod sceny w całej Polsce nie tylko wielbicieli piwa głównego sponsora imprezy. Na występy przychodzą też kobiety i dzieci, a z każdym rokiem jest ich coraz więcej.

Od lipca „Męskie granie” koncertowało w Warszawie, Krakowie, Gdańsku, Poznaniu i Wrocławiu. Finał odbędzie się 1 września w Żywcu. Wśród muzyków, którzy pojawiali się na scenie byli m.in. Tomasz Stańko, Leszek Możdżer, Wojciech Waglewski, Czesław Mozil czy Katarzyna Nosowska (w tym roku dyrektor artystyczna całego cyklu). Imprezę uświetniły także zespoły, takie jak: Acid Drinkers, Raz Dwa Trzy czy Pogodno. Trzeba przyznać, że siłą „Męskiego grania” jest bardzo atrakcyjna różnorodność brzmień. Podczas jednego koncertu na scenie pojawiają się nie tylko artyści popowi, rockowi i jazzowi, lecz także ci kojarzeni z muzyką poważną. Dla tych, którzy przegapili „Męskie granie”, mamy dobrą wiadomość. Co roku wydawane są płyty z zapisem koncertów – w formie audio i wideo. Trzeba na nie poczekać do jesieni.

Nie zabraknie także wrażeń dla wielbicieli kina. Ciekawym przedsięwzięciem jest Międzynarodowy Festiwal Filmu i Muzyki Transatlantyk, organizowany w Poznaniu przez Jana A.P. Kaczmarka, kompozytora i laureata Oscara za muzykę do filmu „Marzyciel”. W ramach festiwalu zaplanowano pokazy filmowe oraz koncerty muzyki filmowej. Początek imprezy 15 sierpnia, koniec 22.

Na zakończenie kilka słów o nowościach płytowych, ale nie tych najbardziej popularnych. Wakacje w rytmie przebojów The Rolling Stones w aranżacjach soulowych? Czemu nie. Na płycie Joss Stone „The Soul Sessions Volume 2”, oprócz kawałków Stonesów, znajdziemy interpretacje soulowe piosenek, m.in. Chi Lites, The Dells, Broken Bells, The Honey Cone.

Inną intrygującą nowością muzyczną jest soulowa płyta Lianne La Havas „Is Yours Love Big Enough?”. Młoda brytyjska wokalistka w swoich utworach zaskakująco łączy elementy folkowe z soulem. Polecamy przesłuchać, bo to dość ciekawa mieszanka.

Wszystkie wymienione wyżej propozycje **(SLOW)** wpisuje na listę tych kulturalnie obowiązkowych. Zachęcamy do ich przesłedzenia, bo warto te ostatnie ciepłe dni lata spędzić naprawdę *słow* – przyjemnie i świadomie. **(S)**

(kultura)

Kulturalnie na każdy temat

AKTORSTWO

NIE JEST SPOSOBEM NA ŻYCIE

MAREK SIUDYM



MAREK SIUDYM

MOJE ŻYCIE JEST JAK POWOLNE CIEMNIENIE ŚWIATEL W KINIE. WCIAŻ MAM NADZIEJĘ, ŻE NADEJDZIE TO FANTASTYCZNE „COŚ”, CO SPRAWIA, ŻE CZŁOWIEK MA OCHOTĘ JESZCZE TROCHĘ POCZekaĆ – O SWOICH PASJACH, SPOTKANIACH I NIESPEŁNIONYCH PLANACH OPowiada NAM MAREK SIUDYM.

ROZMAWIAŁA: KATARZYNA ŻYSKIEWICZ, ZDJĘCIA: BARTOSZ KLONOWSKI

**POWIEDZIAŁ PAN KIEDYŚ,
ŻE NAJWAŻNIEJSZE TO PRZEŻYĆ ŻYCIE
DOBRZE I POŻYTECZNIE.
CZY DOTYCHCZAS TO SIĘ UDAWAŁO?**

Cóż, nie mnie to oceniać. Z pewnością jednak nie było to życie pasożytnicze. Na wszystko, co miałem, co mam, zapracowałem. Wszystko, co straciłem, straciłem w pełni świadomie. I nikomu nie wyrządziłem nigdy czegoś kompletnie złego, choć zawsze zdarza się w życiu, że obdarowując kogoś, kogoś innego krzywdzimy.

**NA CZYM POLEGA WIĘC SZTUKA ŻYCIA
WEDŁUG MARKA SIUDYMA?**

Na wychodzeniu poza schematy. Niestety w naszej rzeczywistości nie możemy sobie pozwolić na ich wyeliminowanie i na dobrą sprawę nie ma sensu z nimi walczyć. Bo tak naprawdę nie sam schemat jest zły. Zły jest brak dystansu do niego, brak marginesu. Oczywiście konstrukcja jako taka jest wszędzie potrzebna, w każdej jednak musi być możliwość pewnej elastyczności. Nie jestem więc anarchistą, ale przyjemnie jest łamać pewne stereotypy. Nie to, że ośmieszać, ale odzierać z ich siły. Ważne jest również, by nie robić niczego wbrew sobie. Wprawdzie życie zmusza nas bardzo często do czegoś, co nam nie odpowiada. To już jest kwestia naszego bytu, odpowiedzialności za innych, za rodzinę. I wszyscy ludzie, nie tylko ja, robią rzeczy, które nie są im mile.

**KIEDY CZYTA SIĘ WYWIADY Z PANEM,
MOŻNA ODNIEŚĆ WRAŻENIE,
ŻE NIE DO KOŃCA JEST PANU MIŁE
AKTORSTWO. NIE SPRAWIA ONO SATYSFAKCJI?**

Oczywiście, że sprawia, ale nie jest dla mnie jedynym sposobem na życie. Uważam, że mam ogromne szczęście, że nigdy nie byłem przez ten zawód odrzucony. Są ludzie, których aktorstwo nie pokochało, mimo że są dobrzy. Ja szczęśliwie nigdy nie cierpiałem z takiego powodu. Nawet wtedy, kiedy zajmowałem się czymś innym, miałem świadomość, że jeżeli będę chciał, to wrócę do aktorstwa. I zawsze się to udawało.

**MIMO ŻE W MŁODOŚCI MIAŁ PAN
ZUPEŁNIE INNE PLANY ZAWODOWE...
NIGDY NIE ROBIŁ PAN SOBIE WYRZUTÓW,
ŻE PRZEZ ROZRYWKOWY TRYB ŻYCIA
NIE DOSTAŁ SIĘ DO SZKOŁY PLASTYCZNEJ?**

W takich sytuacjach zawsze pojawia się żal. To tak jak z przegranym meczem – poczucie porażki.

**NIE PRÓBOWAŁ PAN JEDNAK PONOWNIE,
DLACZEGO?**

Właściwie nie wiem, ale myślę, że dobrze się stało. Gdybym przy moim temperamencie, chęci ruchu i zmiany został np. malarzem, to w pewien sposób bym się męczył. Nawet jeżeli miałbym w tej dziedzinie coś do powiedzenia. Bo to jest bardzo stacjonarny zawód, wiąże się z pewną formą odosobnienia. Malarz jest sam ze sobą, ze swoimi myślami, swoją twórczością. Mnie natomiast odpowiadałoby życie, które prowadzili malarze przełomu XVIII i XIX wieku. Każdy miał wtedy tę swoją dziuplę, ale wokół wszystko tętniło życiem. I nawet te pozorne samotnie były często pełne ludzi. To było życie w cyganerii, wśród artystów, którzy inspirują, którzy nawzajem się stymulują. I takie życie mnie pociąga, samotna dłubanina – nie. Co ciekawe, to elementy tej właśnie samotnej pracy, zmuszającej do skupienia się na całkiem innej materii odnajduję w obu moich obecnych zawodach, w aktorstwie i jeździectwie. Pracując z koniem, trzeba się wyciszyć. Szukać kontaktu i budować wzajemne porozumienie. To jest konkretna praca, bardzo hermetyczna. Jeden człowiek, jeden koń. Aktorstwo z kolei to taka dłubanina psychologiczna. Każdą postać, którą mam do zagrania, muszę rozłożyć na części, następnie złożyć, wiedząc, jak powinna działać, i oddać gotowy produkt. To nie jest sprawa emocjonalna. To sprawa rozumowa. Tak samo jak w jeździectwie, emocjonalny jest tylko związek, który łączy mnie ze współpracownikami czy końmi. Natomiast sama praca jest czysto rozumowa. ►



WOLNOŚĆ NIELEGALNA

WALKA WŁADZ ZE SQUATTERSAMI TRWA. PO DWÓCH STRONACH KONFLIKTU SĄ DWIE RÓŻNE WIZJE ŚWIATA. W POLSCE ROZPOCZĘŁA SIĘ DYSKUSJA NA TEMAT SQUATTINGU. TO WAŻNY KROK W KIERUNKU ZMIANY SPOSOBU WIDZENIA TEGO ZJAWISKA.

TEKST: GRZEGORZ ZDUNIAK, ZDJĘCIE: AGNIESZKA BĄCZKOWSKA

W ostatnich miesiącach słowo „squat” było odmieniane w mediach przez wszystkie przypadki. Nagły wzrost zainteresowania squatami i squattersami opinia publiczna zawdzięcza nagłośnionej medialnie akcji usunięcia warszawskiego squatu Elba. Pierwsze przekazy medialne były jednoznaczne: służby miejskie w asyście policji i firmy ochroniarskiej pacyfikowały siedlisko zła i zbieraninę odszczepieńców, którzy nielegalnie zajmowali strategiczny dla władz miasta obiekt. Później przyszedł czas na niezbyt wnikliwą refleksję, kilka pytań i zdawkowych odpowiedzi. W końcu temat squatów został zamieciony pod dywan. Telewizyjne wozy odjechały, obiektywy fotoreporterów zwróciły się w inną stronę, a warszawscy squatterzy pozostali zdani na siebie.

Jest jedna korzyść z tej medialnej burzy. Wiele osób dowiedziało się bowiem o istnieniu squatów i problemach tego środowiska. Niektórzy zrozumieli nawet, że o kulturze squattersów trzeba rozmawiać bez uprzedzeń i bez powielania stereotypów, bo to szkodzi nie tylko samej dyskusji, lecz także ludziom skupionym wokół tej idei. Kiedy zamieszanie wokół Elby się skończyło i opadł kurz, okazało się, że problem pozostaje wciąż nierozwiązany, a władze nie mają pomysłu na zagospodarowanie pozytywnej energii środowisk tworzących squaty.

OD SKWATERA DO SQUATTERA

Początki zjawiska squattingu trudno zamknąć w jakimś przedziale czasowym. W XIX wieku skwaterami (ang. *to squat* – przysiąść, przykucnąć) nazywano osadników nieposiadających praw do ziemi, którzy osiedlali się nielegalnie na terenach Australii i Stanów Zjednoczonych. W latach 60. 70. ubiegłego stulecia rozwinęło się zjawisko squattingu (w formie, jaką obserwujemy do dzisiaj), co powiązane było z popularnością ruchów hipisowskich. Młodzi ludzie, których łączyły ideały miłości, braterstwa i pokoju, składali hold

swoim wartościom w grupach zwanych komunami. Osiedlali się w opuszczonych budynkach, żeby kontestować panujący porządek i całkowicie odciąć się od głównego nurtu życia społecznego. Zajmowane w ten sposób budynki były nie tylko ich mieszkaniami, pełniły także rolę ważnych ośrodków kulturalnych i ideologicznych.

Mimo pozytywnych aspektów działalności squatów bardzo szybko pojawiło się wielu przeciwników takiego stylu życia. Byli to głównie właściciele nielegalnie zajmowanych budynków oraz władze. Dla społeczeństwa squaty stawały się białymi plamami na mapie miasta, a wiele wspólnot zderzyło się z najbardziej prozaicznymi trudnościami życiowymi, takimi jak brak wody czy prądu. Ich bunt małał, z czasem powracali do życia w społeczeństwie. Squaty zaczęły pustoszeć, w końcu wiele z nich w ogóle przestało funkcjonować.

PUNKOWA REWOLUCJA

W latach 80. squaty zaczęły się odradzać. Impulsem do tego odrodzenia był rozwój kultury punkowej, związanej z ideami anarchistycznymi i negowaniem porządku społecznego. W przeciwieństwie do ideologii hipisowskiej nie nawoływano do miłości. Punkowa rewolucja była krzykiem rozpaczliwego pokolenia, które czuło się życiowo oszukane i przegrane, zanim jeszcze tak naprawdę zaczęło uczestniczyć w dorosłym życiu. Wrogiem stało się państwo, społeczeństwo, bardzo często też rodzina. Nic nie łączyło tak mocno, jak wspólny wróg, stąd też wielu ludzi utożsamiających się z tą kulturą podjęło próbę wspólnego życia na marginesie społeczeństwa. Lata 80. to czas wyjścia gospodarki z kryzysu ekonomicznego oraz odejścia od gospodarki opartej na przemyśle. Widocznym znakiem transformacji gospodarki światowej była ogromna liczba opuszczonych budynków pofabrycznych, które często zasiedlali squatterzy. ►

Przeciwnicy bardzo szybko podjęli z nimi walkę. Zdarzały się przypadki, że likwidacje squatów przeradzały się wówczas w regularne bitwy na ulicach miast. Niezwykle brutalne zajścia miały miejsce na przykład w Amsterdamie w marcu 1980 roku. W trakcie likwidacji pustostanu w dzielnicy Vondelsraat przeciwko czołgom, które pojawiły się na ulicach pierwszy raz od zakończenia II wojny światowej, stanęli ludzie uzbrojeni w kamienie i koktajle Mołotowa. Efektem tej bitwy było zlikwidowanie squatu oraz zmarginalizowanie squattersów w Amsterdamie.

OD MIESZKANIA DO CENTRUM KULTURY

Największą grupę squatów tworzą miejsca stanowiące jedynie alternatywę dla wynajmowania mieszkania, nie organizuje się tam żadnych inicjatyw kulturalnych. Takich miejsc jest wiele w miastach, które są znaczącymi ośrodkami emigracji (np. Londyn czy Berlin). Emigranci zarobkowi często widzą w nich szansę na ograniczenie swoich wydatków, jak opisał to Maciej Maleńczuk: „Do marki marka, aż zbierze się miarka. Zamieszkam na squacie i dorobię na szrocie”. Media nie nagłaśniają likwidacji squatów. Lokalna prasa opisuje wszystko zwykle jako wyrzucenie bezdomnych z nielegalnie zajmowanego pustostanu. Ani słowa o squattersach... Squaty, które pełnią jednocześnie funkcje mieszkalne i kulturalne, rozrywkowe są ciekawsze. To bardzo prężnie działające ośrodki, prowadzące kluby, kawiarnie, organizujące koncerty, wystawy i akcje propagujące zdrowy tryb życia. Liczba inicjatyw jest imponująca. W przypadku tego typu squatów można zaobserwować bardzo silną identyfikację mieszkańców z pewną ideologią wolnościową lub anarchistyczną. Wyjątkowość takich miejsc wiąże się z tym, że można w nich spotkać niezwykle ludzi, zderzyć się z atmosferą wolności, otwartości i kreatywności, co działa niezwykle inspirująco. Dzięki wielu pożytecznym inicjatywom, takim jak sklepy wegetariańskie czy organizowanie badań lekarskich, zaangażowane squaty mają szerokie grono zwolenników, którzy w każdej chwili gotowi są stanąć w obronie tych miejsc.

CIEMNE OBLICZE WOLNOŚCI

Squaty nie są miejscami komfortowymi. Abstrahując od zimna, niewygody i zagrożenia likwidacją, unosi się nad nimi atmosfera niebezpieczeństwa. Nie bez przyczyny. Bardzo często zakładane są w niespokojnych okolicach miast, gdzie najłatwiej znaleźć opuszczony budynek. Mieszkają tam na ogół ludzie, których historie życiowe mogłyby być scenariuszem niejednego kryminału. Bardzo często pojawiają się też przestępcy, dilerzy narkotyków. I choć na wielu squatach obowiązuje zakaz zażywania twardych narkotyków, to nie zawsze jest to respektowane. W kopenhaskim miasteczku squatów Christiania sprzedaż miękkich narkotyków odbywa się na ulicy i za cichym przyzwoleniem władz miejskich. W okolicach berlińskich squatów, w dzielnicy Kreuzberg, częstym widokiem są samochody, w których można dostać czyste igły i strzykawki. Sąsiedztwo squatów jest również uciążliwe dla mieszkańców dzielnic, w których się one znajdują.

Pomimo determinacji władz miejskich, dążących do likwidacji pustostanów, miejsca te stają się wręcz atrakcjami turystycznymi, zatracając przez to swój alternatywny charakter. Berliński squat Koepe137 z anarchistyczno-punkowego zagłębia staje się powoli modnym klubem, do którego przyjeżdżają spragnieni wrażeń turyści z Polski.

SQUAT PO POLSKU

W Polsce najbardziej znane squaty to przede wszystkim warszawskie: Elba i Przychodnia, poznański Rozbrat (założony w 1994 roku, jeden z najstarszych działających squatów w Polsce) i wrocławskie Centrum Reanimacji Kultury. Medialnie bez wątpienia najbardziej znana jest Elba. To właśnie z powodu tego squatu rozgorzała wielka dyskusja, a wyprowadzce mieszkańców towarzyszyły nie tylko media, lecz także policja i ochroniarze. Zamieszanie wokół Elby sprawiło, że o jej nietypowych mieszkańcach zaczęto mówić głośno. Mieszkali tam Polacy i obcokrajowcy, było to więc miejsce na styku wielu kultur, co przekładało się na działalność tej wspólnoty.

Chociaż u podstaw każdego squatu leży pragnienie wolności, w ramach wspólnoty istnieją pewne zasady, do których każda przebywająca tam osoba musi się dostosować. W Elbie podstawą był zakaz posiadania, sprzedawania i wymiany narkotyków. Wszystkie inne kwestie rozwiązywano dzięki rozmowom. O wszelkich inicjatywach decydował powołany przez mieszkańców kolektyw. Można powiedzieć, że to właśnie była demokracja w najczystszym wydaniu. Wieczorową porą Elba sprawiała wrażenie opustoszałej, w ciągu dnia lub w trakcie rozmaitych wydarzeń tętniła życiem. A działo się tam sporo, zorganizowano kryty skatepark, odbywały się koncerty (głównie w stylistyce punkowej), imprezy tematyczne czy spotkania, można było spróbować pizzy czy porozmawiać o kuchni wegańskiej. Wszystko to bardzo często połączone z ciekawymi dyskusjami.

Warszawska Elba zgasła. Po ośmiu latach działalności zniknęło miejsce ważne dla kultury naprawdę alternatywnej. Na koniec zorganizowano uroczystą stypę. Finał znamy z mediów. Prawdopodobnie wiele squatów w Polsce również zostanie zlikwidowanych, ale ich mieszkańcy znajdują nowe miejsca i założą nowe wspólnoty. Pragnienie wolności jest silniejsze od zakazów, więc pewne jest, że ruch squatterski nie zginie. Wiele wskazuje na to, że jeszcze długo będzie działać w opozycji do niechętnych władz miejskich. Szkoda, że niechętnych, bo miejsca takie jak Elba przyciągają ludzi. Wiele squatów w Polsce stanowi ważne ośrodki kultury, dla których nie ma miejsca w modnych klubach z centrów miast. Alternatywa z konieczności jest skazana na życie na ich obrzeżach. I choć nie jest masowa i nie przynosi zysków, to jest niezwykle potrzebna do zachowania równowagi w świecie kultury.

Mimo że squattersi w konfrontacji z władzami miejskimi są na straconej pozycji, to są też otwarci na dialog. Chcą, by ich słuchano, a nie stawiano do kąta. Znaleźcie rozwiązanie tego konfliktu jest wyzwaniem, ale warto spróbować, bo squaty są elementem życia społecznego, który warto ośwoić. **(S)**



Bardzo ciekawą historię rodzinną możemy zobaczyć też w komediodramacie „Wszystko w porządku” („The Kids Are All Right”, 2010). Film przedstawia losy Nic (Annette Bening) i Jules (Julianne Moore), pary lesbijek w średnim wieku, która na przedmieściach Los Angeles wychowuje dwójkę nastoletnich dzieci – Joni i Lasera (pochodzących z zapłodnienia nasieniem od anonimowego dawcy). Wszystko wydaje się w porządku do momentu, w którym Joni kończy 18 lat i zostaje namówiona przez brata do odszukania ich biologicznego ojca. Z wahaniem wykonuje telefon do banku spermy. Tam zostaje połączona z Paulem (w tej roli ujmująco przystojny Mark Ruffalo). Mężczyzna z radością przystaje na propozycję poznania swoich dzieci, o których nigdy nie miał pojęcia. Jego pojawienie się powoduje małą niestabilność w lekko znudzonym związku dwóch pań. Ich relacja zostanie poddana najcięższej próbie...

NIETRADYCYJNA RODZINA

Będąc przy homoseksualnym modelu rodziny, nie sposób pominąć film Piotra Matwiejczyka „Homo Father” (2005). Gabriel (Bodo Kox) i Robert (Dawid Antkowiak) żyją ze sobą od trzech lat. Robert ukrywa przed światem swój związek, Gabriel przeciwnie – chciałby, żeby ludzie dowiedzieli się o ich wzajemnej miłości. Pewnego dnia w ich domu pojawia się Natalia, z którą Gabriel trzy lata temu miał jednorazową przygodę. Przyprowadza małą dziewczynkę i pozostawia ją z Gabrielem. Przez telefon informuje go, że to jego córka... „Homo Father” to chyba pierwszy polski film podejmujący tak odważnie (oczywiście przy wszystkich mankamentach kina offowego) problem wychowywania dzieci przez pary homoseksualne.

SĄD RODZINNY

Film Nicka Cassavetes „Bez mojej zgody” („My Sister’s Keeper”, 2009) przedstawia niezwykle ujmującą opowieść rodzinną, w której trzewiach buzują dylematy natury etyczno-moralnej. U Kate, ukochanej córeczki Sary i Briana, zdiagnozowano rzadką odmianę białaczki. Od tego momentu wszystkie działania rodziców zostały podporządkowane tylko jednemu celowi – ratowaniu córki. Z taką intencją płodzą swoją drugą córkę – Annę. Dziewczynka ma uratować Kate, będąc dla niej swistym bankiem części zamiennych. Po jedenastu latach niekończących się zabiegów medycznych, komplikacji i wielokrotnych pobytów w szpitalu nerki Kate przestają funkcjonować i konieczny jest przeszczep. Rodzice znów zwracają się po pomoc do Anny, ale jedenastoletnia dziewczynka po raz pierwszy odmawia pomocy swojej siostrze. Postanawia pozwać rodziców i walczyć o prawo do swojego ciała.

Do sądu nie chodzą tylko dzieci. Rodzice walcząc o opiekę nad nimi, także trafiają przed oblicze Temidy. Klasyczną pozycją z tej półki jest „Sprawa Kramerów” („Kramer vs. Kramer”, 1979). Joanna (Meryl Streep) postanawia opuścić męża Teda (Dustin Hoffman) i dziecko.

Po jakimś czasie Joanna i Ted będą musieli stoczyć sądową batalię o prawo do opieki nad 6-letnim Billym. Przy czym Ted będzie musiał przekonać sąd, że ma takie same prawa jak jego była żona. 5 Oscarów w najważniejszych kategoriach (film, reżyseria, scenariusz, najlepsza aktorka i aktor) to wystarczająca rekomendacja. Polską „odповідź” na „Sprawę Kramerów” zrealizował wiele lat później Maciej Ślesicki w filmie „Tato” (1995). Michał (Bogusław Linda) musi walczyć w sądzie ze swoją żoną (Dorota Segda) o prawo do wychowywania córeczki Kasi. Ku jego zaskoczeniu wymiar sprawiedliwości woli powierzyć opiekę nad dzieckiem niestabilnej emocjonalnie matce.

KOCHANY TATUŚ

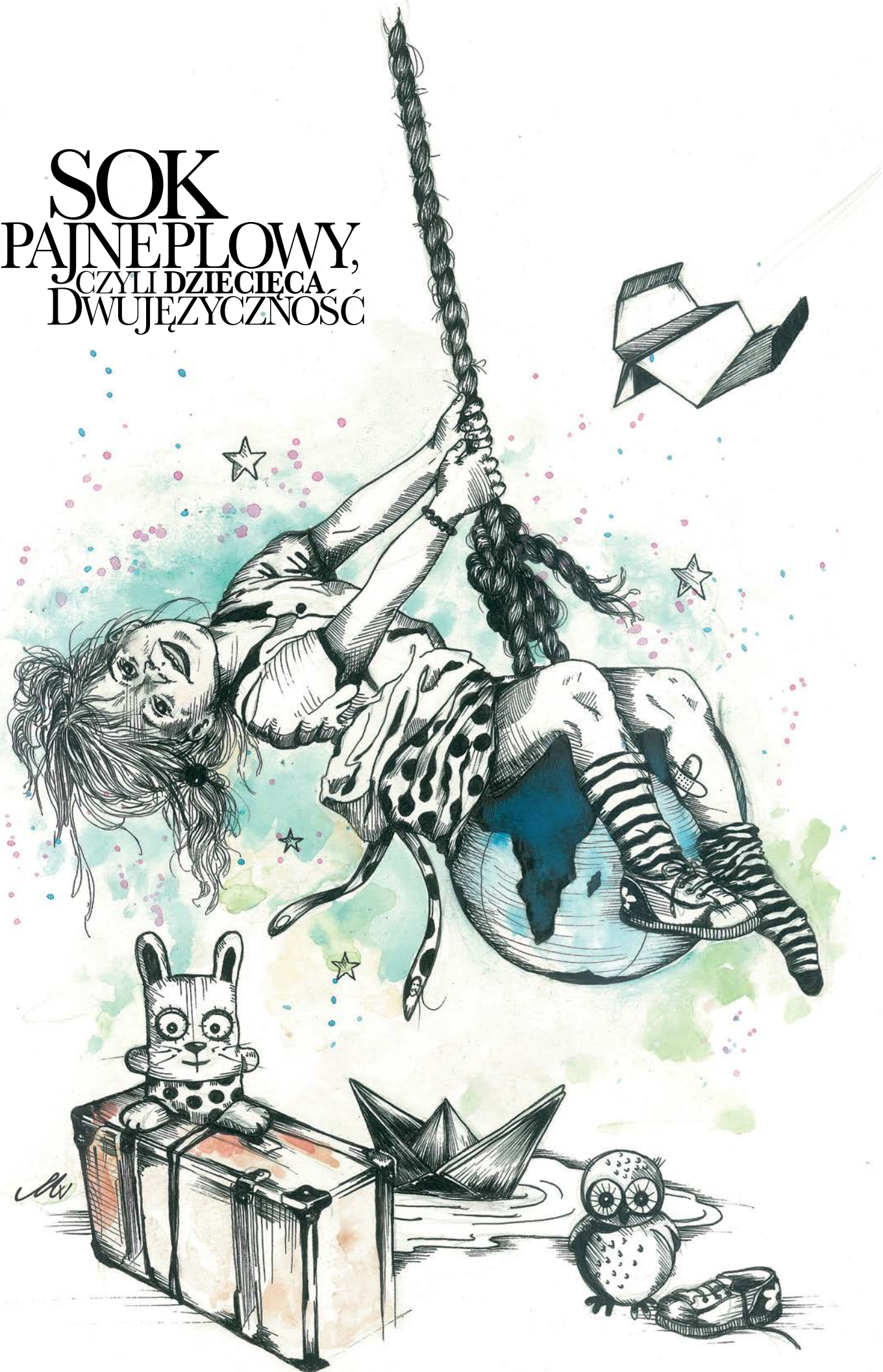
W debiucie reżyserskim Tima Rotha „Strefa wojny” („The War Zone”, 1999) poruszono tematykę molestowania seksualnego w rodzinie. Trudną relację między rodzicami a dziećmi, w świecie zdominowanym przez wirtualne formy komunikacji, pokazał Jan Komasa w „Sali samobójców” (2011). Pochłonięci własną karierą rodzice są przekonani, że zapewniając synowi dobrą szkołę i szofera, wywiązują się w pełni ze swoich obowiązków. Tymczasem zerwana więź emocjonalna w krytycznym momencie prowadzi do tragedii. W podobnym klimacie utrzymany jest wstrząsający film „Musimy porozmawiać o Kevinie” („We Need to Talk About Kevin”, 2011). Tytułowy Kevin (Ezra Miller) to demoniczny nastolatek, który świadomie manipuluje swoim otoczeniem i nie uznaje żadnych zasad. Chłopak prowadzi cały czas wojnę psychologiczną ze swoją matką (znakomita Tilda Swinton), doprowadzając m.in. do jej konfliktu z mężem. Sponiewierana matka nie zdaje sobie nawet sprawy z tego, że Kevin dzień po dniu w sposób chłodny i wyrachowany szykuje spektakularny *event*, który będzie karą za zbyt płytkie uczucia macierzyńskie.

OJCOWSKO-SYNOWSKI HAPPY END

W światowej kinematografii nie brakuje również produkcji prezentujących udane relacje rodzinne. „Inwazja barbarzyńców” („Les Invasions barbares”, 2003) to film, który dowodzi, że nigdy nie jest za późno na naprawienie nadwątłych relacji rodzinnych. Kiedy pięćdziesięcioletni Remy trafia do szpitala, diagnoza onkologiczna nie wróży niczego dobrego. Mając na względzie powagę sytuacji, była żona Remy’ego namawia ich syna, Sebastiena, mieszkającego na stałe w Londynie, by przyjechał i odwiedził ojca. Sebastien waha się, ponieważ od lat nie łączyło ich nic szczególnego, nie utrzymywali żadnego kontaktu. Chłopak ulega jednak namowom matki. Po przyjeździe gra rolę dobrego syna i staje na głowie, by ulżyć ojcu w ciężkiej chorobie. Odświeża stare znajomości i kontakty. Zwołuje wesołą bandę ludzi, których w przeszłości spotkał na swej drodze Remy: krewnych, przyjaciół, byłe kochanki. Relacja między ojcem a synem powoli zaczyna się odbudowywać. We wzruszającym finale Remy mówi do Sebastiena: Życzę ci takiego syna, jakiego ja miałem. (S)

(parents)
Relacje słodko-gorzkie

SOK PAJNEPLOWY, CZYLI DZIECIECA DWUJĘZYCZNOŚĆ



ZJAWISKO DWUJĘZYCZNOŚCI TO DLA WIELU TEMAT FASCYNUJĄCY I CIĄGLE NA NOWO PODEJMOWANY. W ŚRODOWISKACH ZAJMUJĄCYCH SIĘ TYM ZAGADNIENIEM KRAŻY ZDANIE NIEZNANEGO AUTORA: „BILINGWIZM TO CZARUJĄCE ODSTĘPSTWO OD REGUŁY, ALE TO JEDNOJĘZYCZNOŚĆ JEST NORMĄ”. W CZASACH, W KTÓRYCH ZNAJOMOŚĆ JĘZYKÓW OBCYCH STAJE SIĘ WYMOGIEM RYNKU PRACY, WARTO POSTAWIĆ SOBIE PYTANIE, KTO W ŚWIETLE NAUKI MOŻE BYĆ UZNANY ZA OSOBĘ DWUJĘZYCZNĄ.

TEKST: EWA TOWAREK, ILUSTRACJA: MAYA NIEŚCIER

DWUJĘZYCZNIE WYEDUKOWANI

Rozpoczynając studia w Instytucie Lingwistyki Stosowanej, znalazłam w stopniu ponad zaawansowanym dwa języki obce: angielski i hiszpański. Ostatniego nauczyłam się w liceum w tzw. sekcji dwujęzycznej z językiem hiszpańskim. Przez cztery lata uczyłam się go od podstaw, zaczynając od 18 godzin w tygodniu. Rokrocznie wprowadzano nowe przedmioty wykładane po hiszpańsku. Po ukończeniu liceum nie czułam się bynajmniej osobą dwujęzyczną, ponieważ moje rozumienie bilingwizmu zakładało perfekcyjną, bezbłędną znajomość dwóch języków w mowie i piśmie. Czy można mówić o dwujęzyczności, gdy posługującego się językiem obcym zdradzają obco brzmiący akcent i intonacja? Okazuje się, że tak. Istnieje wiele definicji dwujęzyczności. Moja osobista wizja bilingwizmu jako zdolności perfekcyjnego żonglowania dwoma językami pokrywa się z definicją Leonarda Bloomfielda, jednego z najważniejszych językoznawców amerykańskich. Według niego osoby dwujęzyczne, tak jak rodzimi użytkownicy, znają dwa języki – zarówno w mowie, jak i w piśmie. Badania wykazały, że liczba takich osób jest znikoma, są to przeważnie jednostki wybitnie uzdolnione oraz zdeterminowane, które nie szczędzą wysiłków, żeby utrzymać i pogłębiać swoją dwujęzyczność. Większość posiada jednak lingwistyczne preferencje i jeden z języków obcych staje się językiem wiodącym. Osoby te potwierdzają postulat innego językoznawcy, MacNamary, który sprzeciwia się wyidealizowanej wizji Bloomfielda i komentuje, że bilingwizm polega na „minimalnym stopniu posługiwania się dwoma językami w mowie, piśmie, czytaniu lub słuchaniu”. Idąc tym tokiem myślenia, możemy założyć, że co druga osoba w Polsce jest dwujęzyczna, natomiast pozostając wiernym klasycznej definicji Bloomfielda, dwujęzycznych należy szukać ze świecą...

ANTYCZNI POŚREDNICY

Początków zjawiska bilingwizmu należy upatrywać w czasach starożytnych. Wiemy o istnieniu zawodu tłumacza w Egipcie i Babilonii. Z czasem przecież coraz więcej osób uczyło się języków obcych, żeby porozumieć się z innymi grupami etnicznymi. Zapotrzebowanie na dwujęzyczność pojawiło się więc wraz z potrzebą nawiązania kontaktów handlowych i gospodarczych. Innych przyczyn należy upatrywać w wybuchu wojen, w dążeniach kolonizacyjnych oraz po prostu w wymianach, jakie następowały między plemionami. Zatem z pewnością można stwierdzić, że bilingwizm wynikał z toku naturalnych procesów komunikacyjnych człowieka w kontaktach ze społeczeństwem, z potrzeby odkrywania nowych horyzontów i zdobywania doświadczeń.

DWUJĘZYCZNIE WYCHOWANI

Przyswajanie języków obcych może odbywać się w różnych miejscach. Najbardziej naturalnym otoczeniem jest środowisko rodzinne. To relacje z rodzicami istotnie wpływają na językowe preferencje dzieci.

Bożena, nauczycielka języka angielskiego, oraz George, z wykształcenia lingwista, tworzą polsko-amerykańską rodzinę i wychowują Jima i Magdę. Od momentu narodzin potomstwa dbali o ich edukację językową. Każde z rodziców rozmawia z dziećmi w swoim ojczystym języku, lecz gdy przebywają we czworo, posługują się angielskim, który Bożena określa jako język rodziny. Silna pozycja języka angielskiego wiąże się z niechęcią Georga do polszczyzny. Mimo że, jak sam przyznał, doskonale zna język swojej żony, to jego aspekt fonetyczny sprawia mu ogromne trudności. Dlatego też rzadko się nim posługuje, szczególnie w rozmowach z dziećmi. Z drugiej strony częstszy kontakt Jima i Magdy z angielskim ma też wymiar pragmatyczny. Od 6. roku życia uczęszczają do amerykańskiej szkoły w Warszawie, gdzie wszystkie zajęcia odbywają się w języku angielskim, z wyjątkiem kilku godzin przedmiotu o nieco paradoksalnej nazwie „Język polski jako ojczysty”. Warto zaznaczyć, że naukę tego przedmiotu dzieci rozpoczęły dopiero w wieku 11 lat, a więc przez pięć lat ich kontakt z polszczyzną ograniczał się do rozmów z matką i nianią (rodzina Bożeny mieszka poza Warszawą i widują się bardzo rzadko). Zatem nauka czytania u dzieci zaczęła się w języku angielskim, kiedy w wieku czterech lat poznały angielski alfabet, później zaś nauczyły się od Bożeny polskich liter. Dzieci mieszkają w Warszawie, ale właściwie nie mają kontaktu z rówieśnikami z Polski, większość dnia spędzają w szkole. Ich koledzy pochodzą przeważnie z rodzin dwujęzycznych i znacznie chętniej porozumiewają się po angielsku. Nie jest to dziwne, zważywszy na fakt, że nauczyciele są narodowości amerykańskiej, a niemal wszystkie zajęcia są prowadzone po angielsku.

Chociaż ich język polski pozostawia wiele do życzenia, Jima i Magdę można bez wątplenia nazwać osobami dwujęzycznymi. Swobodnie przechodzą z języka polskiego na angielski, przy czym nie są im obce nieprawidłowości w odmianie przez przypadki czy w końcówkach fleksyjnych (takie jak *dżdżownicu* czy *drzwiów*). Niemniej jednak dzieci nie boją się mówić i nie przejmują się popełnianymi błędami. Jest to powszechne u dzieci bilingwistycznych, które uczyły się dwóch języków jednocześnie. Taki rodzaj dwujęzyczności funkcjonuje w lingwistyce jako bilingwizm współrzędny. ▶



POTENCJALNY GENIUSZ

WSPÓŁCZESNE SPOJRZENIE NA EDUKACJĘ ZDECYDOWANIE RÓŻNI SIĘ OD TEGO, KTÓRE PAMIĘTAMY Z WŁASNYCH SZKOLNYCH DOŚWIADCZEŃ. DYNAMICZNY ROZWÓJ TECHNOLOGII INFORMACYJNEJ WYWIERA OGROMNY WPŁYW NA SPOSÓB MIERZENIA SIĘ Z WYZWANIAM, KTÓRE STAJĄ PRZED NAJMŁODSZYMI. WARTO PRZYJRZEĆ SIĘ METODOM UŁATWIAJĄCYM IM START W DOROSŁE ŻYCIE. JEDNĄ Z NICH JEST METODA GLOBALNEGO CZYTANIA.

TEKST: JOANNA KARCZMARCZYK, ILUSTRACJA: ANNA JASIŃSKA (NA PODSTAWIE GRAFIKI Z WWW.FOTOLIA.PL)

ANALIZA I SYNTEZA W ZMYSŁOWYM ŚWIECIE

Zdaniem Glenna Domana, amerykańskiego fizykoterapeuty, twórcy „cudownego” sposobu uczenia, im młodsze dziecko, tym większy potencjał do nabywania wiedzy, a co za tym idzie, większe możliwości rozwoju. Idąc tym tropem, należy stworzyć warunki sprzyjające rozwojowi oraz stymulujące go w sposób zgodny z naturalną chęcią nabywania wiedzy.

Dziecko najpierw poznaje świat zmysłami. Doman zwrócił uwagę na fakt, że jakość doświadczeń na poziomie wrażeń zmysłowych (smaku, dotyku, słuchu, wzroku) może być elementem wpływającym na dalsze możliwości rozwojowe. Natalia i Krzysztof Minge, prowadzący w Poznaniu Poradnię Psychologiczną Hipokampus, psychologowie specjalizujący się we wspieraniu rozwoju intelektualnego dzieci, w swojej książce pt. „Jak kreatywnie wspierać rozwój dziecka” piszą, że wczesna stymulacja oczu nie tylko przyspiesza rozwój kory wzrokowej, a zatem umiejętności postrzegania, lecz także sprawia, że dziecko będzie lepiej widziało przez całe życie.

Badacze z powodzeniem stosują w swojej pracy metodę globalnego czytania. Zwracają uwagę na to, że małe dzieci uczą się czytać wyrazy i wypowiedzi w taki sam sposób, w jaki zaczynają rozumieć wypowiedziane słowa. Nie występuje u nich świadoma synteza i analiza tego, co jest napisane, cały proces odbywa się nieświadomie. Mówimy do dzieci pełnymi zdaniami, a mimo to maluchy doskonale wychwytyją poszczególne słowa. Dodatkowo rozumieją ich znaczenie. Podobnie dziecko wyróżnia poszczególne dźwiękowe odpowiedniki liter, czyli fonemy.

ZABAWA W CZYTANIE

Metoda globalnego czytania odwołuje się do elementarnej ciekawości dziecka, do poznawania świata właśnie dzięki zmysłom i do zabawy jako sposobu przekazywania wiedzy. Rodzic aktywnie uczestniczy w procesie nauki czytania – korzysta z kart (*flash cards*) opatrzonej dużymi wyrazami. Wzrok dziecka jest jeszcze na tyle niedojrzały, że powinno się stosować wielkie litery, zbliżone swoim wyglądem do liter drukowanych w książce. Program proponowany przez Domana zakłada pokazywanie dziecku pięciu zestawów po pięć kart trzykrotnie w ciągu dnia. Dzieci rozpoznają słowa na zasadzie wzrokowego różnicowania. Dorosły pokazuje dziecku kartę z określonym wyrazem i patrząc na nią, głośno i wyraźnie czyta to, co jest napisane. Nie powtarza się wyrazów w sesji oraz nie wymaga od dziecka powtarzania ich. Jedna sesja trwa przeważnie niecałą minutę. Ważne jest, by maluch jako pierwszy nie zrezygnował z uczestnictwa w niej. I tu z pomocą przychodzi formuła uczenia się poprzez zabawę. Joanna Niewiarowska, pedagog z dziesięcioletnim doświadczeniem w pracy metodą Domana z dziećmi polsko- i anglojęzycznymi, potwierdza: – Wykorzystując poszczególne elementy nauczania tą metodą w pracy z dziećmi, trzeba pamiętać o zabawie i ich emocjach. W tym właśnie okresie dzieci posiadają największy potencjał do nauki języka, bez studiowania

gramatyki i bez wysiłku. Na efekty systematycznej pracy nie trzeba długo czekać. Maluchy szybko uczą się słów, rozwijają zdolności myślenia, obserwowania. To proces, w którym nie tylko ćwiczą koordynację wzrokową czy pamięć, lecz również budują wiarę we własne możliwości dzięki osiąganiu szybkich efektów.

Zabawa, która odgrywa tak znamienne rolę w prawidłowym rozwoju dzieci, doskonale wpisuje się w założenia specjalistów, którzy wraz z Domanem pracowali nad omawianą metodą. Taka nauka czytania jest czymś odmiennym od typowej lekcji języka polskiego w szkolnej formie. Jak pisze Natalia Minge w artykule „Miłość oraz szacunek do dziecka – warunki powodzenia metody Domana”: „Zarówno nauczanie czytania, matematyki czy przekazywanie dzieciom wiedzy encyklopedycznej musi być zabawą. Nie mamy prawa zamieniać, choćby w najlepszej wierze, naszego domu w szkołę, w której panują sztywne reguły, do których dziecko musi się dostosować. Jest to najkrótsza droga do zniechęcenia dziecka i zarzucenia jakiegokolwiek nauki”.

ANI KIJEM, ANI MARCHEWKĄ

Autor metody określił zasady sprzyjające efektywności zabawy w czytanie. Przede wszystkim zarówno rodzice, jak i dzieci muszą być odpowiednio przygotowani. Ważna jest dobra kondycja psychiczna. Choroba bądź złe samopoczucie dziecka nie są dobrym momentem do nauki. Odłożenie takich lekcji na właściwą chwilę przyniesie lepsze rezultaty, niż gdybyśmy zastosowali przymusowe sesje.

Kolejnym ważnym aspektem jest skupienie się na efektach. W metodzie Domana nie weryfikuje i nie ocenia się osiągnięć. Nie należy traktować sesji jako lekcji, w trakcie której dziecko ma nauczyć się doskonale odczytywać wskazane słowa. Pod żadnym pozorem nie odpytuje się go, nie prosi o powtarzanie. Jeśli maluch sam wykaże taką inicjatywę, można to oczywiście wykorzystać w zabawie, niczego jednak lepiej nie narzucać i nie wymagać. Równie istotną kwestią, na którą zwraca uwagę autor, jest nienagradzanie dziecka. Czytanie ma być zabawą taką samą jak budowanie z klocków. W jednym i drugim przypadku nie robi się dziecku prezentów ani nie stosuje kar, np. słownych, za niepowodzenia. Za wszelką cenę należy unikać mechanizmu kija i marchewki, który przeczy zabawie. W „Psychologii rozwojowej dzieci i młodzieży” pod red. Marii Żebrowskiej przedstawiono wybrane poglądy psychologii na zabawę. Co istotne, z każdej perspektywy wyłania się ten sam obraz, że zabawa postrzegana jest jako akt bezinteresowny i dobrowolny. Nie ma w nim miejsca na rezultaty, ważny jest sam proces i płynąca z niego przyjemność.

PEŁNOSPRAWNY MÓZG

Dziecko posiada naturalną chęć badania świata. Doman widząc ten ogromny głód wiedzy, nie ryzykował w żaden sposób, dając dzieciom zarówno upośledzonym umysłowo, jak i zdrowym szansę na rozwój potencjalnych możliwości. ▶

